

 HARLEQUIN[®]
TM

ŚWIATOWE ŻYCIE[®]



POCAŁUNEK
ZA MILION DOLARÓW

ABBY GREEN

Abby Green

Pocałunek za milion dolarów

Tłumaczenie:
Barbara Bryła

PROLOG

Benjamin Carter siedział na wysokim, obitym skórą krześle w kącie prywatnego luksusowego klubu, do którego wstęp mieli wyłącznie jego członkowie. Światło było przytłumione, atmosfera przyciszona i nastrojowa. Złociste lampy i migocące świece nadawały wnętrzu klimat subtelnej intymności. Dym cygara snujący się w przeciwnym ciemnym kącie wypełniał powietrze egzotycznym aromatem.

Klub zapewniał absolutną dyskrecję i Ben tym się kierował, wybierając go na miejsce tego spotkania. Teraz spoglądał kolejno na każdego z trzech mężczyzn, którzy zebrali się przy jego stoliku. Na prośbę Bena.

Na szejka Zayna Al-Ghamdiego, władcę pustynnego królestwa zasobnego w ropę i surowce mineralne, o niezmiernych bogactwach i rządach absolutnych. Potem na Dantego Manciniego, włoskiego magnata odnawialnych źródeł energii, o czarującej powierzchowności, kryjącej ostry jak brzytwa intelekt, prawdziwą żyłkę do interesów i uszczypliwy język. I w końcu na ostatniego, nie mniej ważnego, Xandra Trakasa, greckiego miliardera i dyrektora generalnego konglomeratu o globalnym zasięgu, specjalizującego się w luksusowych towarach. Chłodnego, powściągliwego, o wyrazistych rysach twarzy, które niczego nie zdradzały.

Ben wprawdzie nie rządził pustynnym królestwem ani połową Europy, ale miał władzę nad Manhattanem ze swymi strzelistymi dźwigami i głębokimi wykopami w ziemi, wnosząc nowe i niesamowicie ambitne budowle.

Przy stoliku panowała atmosfera wręcz namacalnego napięcia. Ci mężczyźni tak długo byli swoimi nieprzejezanymi wrogami, że wydawało się niemal surrealistyczne to, że siedzieli teraz tu razem. Początkowo ich drobne nieporozumienia w interesach przez lata przerodziły się w zaciekłą wojnę, w której jed-

nak przeciwnicy darzyli się wzajemnie szacunkiem. Każdy z nich był równie bezwzględny i uparty jak pozostali, więc jedynie, co osiągnęli w tych konfliktach, to pełen napięcia pat.

Ben usiadł prosto, bo nadszedł czas na jego przemowę.

- Dziękuję wszystkim za przybycie.

Ciemne oczy szejka Zayna Al-Ghamdiego lśniły złowrogo.

- Nie lubię, kiedy się mnie wzywa jak krnąbrnego uczniaka, Carter.

- A jednak - zauważył Ben - jesteś tu. - Rozejrzał się. - Wszyscy jesteście.

Dante Mancini powiedział przeciągle:

- A Oskar za powiedzenie największego banału idzie do Benjamin Cartera. - Uniósł ciężką kryształową szklanę w kierunku Bena, a ciemny trunek w środku zamigotał złociście, odbijając dekadentcki przepych tego miejsca. Wychylił drinka jednym haustem, jednocześnie przywołując gestem kelnera. Uchwycił spojrzenie Bena. - Może raz skusisz się, by wypić coś mocniejszego niż woda, Carter?

Ben nie dał się sprowokować kpinom Dantego. On jeden z całej czwórki nie delektował się najlepszą whisky *single malt*, jaką można było nabyć poza Irlandią i Szkocją.

Spojrzał znacząco na pozostałych.

- Panowie, wprawdzie świetnie bawiliśmy się przez ostatnią dekadę, dając się sobie nawzajem we znaki, ale nadszedł chyba czas, byśmy przestali dawać prasie pretekst do szczucia nas jeden na drugiego.

Xander Trakas spojrział na pozostałych i westchnął.

- On ma rację. Prasa wzięła nas na celowniki, jednego po drugim. To nie są już tylko wzmianki w tym brukowcu „Szpieg celebrytów”, za które ponosimy część odpowiedzialności, zaniedbując własny wizerunek, ale fałszywe oskarżenia o nadmierne imprezowanie, niezamykające się drzwi do sypialni i rzucającą się w oczy nieobecność w pracy. To już coś zgoła innego. Do szału doprowadzają mnie zarzuty, że nieustannie baluję, gdy ja zarywam noce, siedząc w biurze. W zeszłym tygodniu straciłem lukratywny kontrakt, bo poddano w wątpliwość moje kompetencje. To zaszło za daleko.

Dante Mancini prychnął.

- Ja mam właśnie stracić poważną transakcję, bo tamci chcą kogoś reprezentującego „rodzinne wartości”, cokolwiek to znaczy. - Pociągnął zdrowy łyk ze świeżo napełnionej szklanki.

To, że Dante Mancini i Xander Trakas nadal byli tu razem i zgadzali się ze sobą, stanowiło najlepszy dowód na to, że Ben dobrze zrobił, zapraszając ich wszystkich dziś wieczór. Zagrożenie było bardzo realne.

- Wyolbrzymianie naszych miłostek stało się zbyt szkodliwe, by to ignorować - powiedział. - Potrafię sobie radzić z tym, że na placu budowy moi ludzie wyśmiewają się z moich romansów. Ale kiedy plotki i insynuacje zaczynają mieć wpływ na wysokość kursu moich akcji i moją zawodową reputację, to to jest już nie do przyjęcia.

Trakas błysnął złośliwie oczami.

- Nie twierdzisz chyba, że to sprawka twojej byłej kochanki, Carter, prawda?

- Jej historia była tak samo prawdziwa, jak twój słynny czarny notes z nazwiskami i numerami najpiękniejszych kobiet świata - odburknął Ben. - Jak to mówią, Trakas? Cicha woda brzędzi?

Trakas skrzywił się, a Mancini zadrwił:

- Jak gdyby Trakas miał monopol na najpiękniejsze kobiety. Wszyscy wiedzą, że ja...

Przerwał im chłodny głos szejka:

- Jeśli już skończyliście tę licytację, to porozmawiajmy, jak możemy się uporać z tymi problemami. Zgadza się z Carterem, że to zaszło zbyt daleko. Niezycżliwe zainteresowanie prasy ma wpływ nie tylko na mój autorytet przywódcy, ale także na moje interesy. Odbija się nawet na szansach mojej młodszej siostry na małżeństwo, a tego już nie zniosę.

Spojrzeli po sobie. Wszyscy nosili klasyczne czarne smoking z wyjątkiem Manciniego, który przełamywał ten trend białą marynarką i zawadiacko rozwiązaną muchą. To przypomniało Benowi o przyjęciu, z którego właśnie wspólnie wrócili, i powiedział ponuro:

- To nie dotyczy tylko naszych interesów... czy rodzin.

Mancini zmarszczył brwi.

- Co masz na myśli?

- Dyrektorka fundacji podeszła do mnie dziś wieczór, mówiąc, że jeśli wrzawa prasy nie ucichnie, będzie musiała zrezygnować z naszego patronatu. Przez nas sprzedaje coraz mniej biletów, a ludzie przestają pokazywać się na imprezach.

Mancini zaklął siarczyście po włosku.

- A więc to dlatego poprosiłeś nas o spotkanie? - odezwał się zamyślony szejk.

Ben przytaknął.

- Chyba wszyscy się zgodzimy, że ostatnią rzeczą, jakiej potrzebujemy, jest to, żeby ucierpiała na tym fundacja.

Charytatywna Fundacja Nadzieja, o której mówili, była jedyną rzeczą, która ich wszystkich łączyła, poza wzajemnym zwalczaniem się w interesach, a organizowane przez nią doroczne przyjęcia - jedynymi momentami, kiedy przebywali w tym samym miejscu o jednym czasie. Co niezmiennie przyciągało ogromne zainteresowanie mediów.

- Carter ma rację - odezwał się Mancini. - Nie możemy sprowadzać na fundację kłopotów.

Po raz pierwszy Ben odniósł wrażenie, że stanowią jedność. Wszystkim naprawdę zależało na tym samym.

- Więc jakie widzisz rozwiązanie? - odezwał się chłodno szejk.

Ben spojrzał na niego i na pozostałych.

- Domyślam się, że podobnie jak ja, zasięgałiście opinii swoich prawników, uznając pozывanie „Szpiega celebrytów” za niewarte dodatkowego rozgłosu?

Zgodnie przytaknęli. Ben mówił dalej, głosem równie ponurym, co otaczające go twarze.

- Wygłoszenie oficjalnego oświadczenia także zaprowadzi nas donikąd, bo nie możemy okazać słabości, broniąc się. - Westchnął. - Jedynym dla nas rozwiązaniem jest wyczyszczenie naszych akt, dokładnie i na długo. Jeśli tego nie zrobimy, ten koszmar się nie skończy. Zaczną kopać głębiej, a ja nie mam już ochoty na dalsze śledztwa.

Dante spojrzał na niego, mrużąc oczy.

- Nie chcesz, by ludziom przypominano, że twoja legenda od

szmat do fortuny nie jest do końca prawdziwa?

Ben zeszywniał.

- Nigdy nie ukrywałem swojego pochodzenia, Mancini. Powiedzmy, że nie chcę wywlekać starych historii. Tak jak i ty nie chcesz, by twoje rodzinne sprawy znalazły się w centrum uwagi. - Dante istotnie żarliwie strzegł prywatności swojej rodziny, co mogło tylko znaczyć, że miał coś do ukrycia.

Po pełnej napięcia chwili na ustach Włocha pojawił się cień uśmiechu. Uniósł prawie pustą szklankę.

- *Touché*, Carter.

- Żaden z nas nie chce przyciągać jeszcze większej uwagi, nieważne z jakiego powodu - powiedział z naciskiem szejk.

Xander Trakas także wiercił się niespokojnie, najwyraźniej myśląc o szkieletach we własnej szafie.

Zapadła złowroga cisza, a wtedy szejk powiedział, krzywiąc się:

- Zgadzam się z Carterem. Uporządkowanie naszego prywatnego życia to jedyne rozsądne rozwiązanie. Unikałem tego, jak mogłem, ale jedyne, co przywróci wiarę moich ludzi we mnie to strategiczne małżeństwo i pojawienie się dziedzica tronu.

Wszyscy wzdrygnęli się na te słowa.

- Po rozmowie z moim doradcą wizerunkowym i prawnikiem, doszedłem do tego samego wniosku - z największą niechęcią musiał przyznać Ben.

Dante był najwyraźniej przerażony.

- *Marriage?* Czy naprawdę musimy podejmować tak drastyczne kroki?

Ben spojrzał na niego.

- Nawet ja widzę korzyści płynące z małżeństwa z kimś odpowiednim. To pozwoli odbudować zaufanie i sprawi, że prasa zostawi nas w spokoju. Niejednokrotnie znajdowałem się w sytuacji, kiedy żony klientów okazywały mi wyraźne zainteresowanie, ku wściekłości ich mężów. To kwestia czasu, żeby interes nie wypalił z powodu małostkowej zazdrości. - Zwrócił się do pozostałych. - Jesteśmy postrzegani jako zagrożenie, na wiele sposobów. A to nie jest dobre.

Dante był wyraźnie poirytowany.

- Powiedziałeś „ktoś odpowiedni”, a co to właściwie znaczy? Czy istnieje taka kobieta?

Szejk odpowiedział, z całym przekonaniem człowieka pochodzącego ze środowiska, w którym aranżowane małżeństwa były na porządku dziennym.

- Oczywiście, że tak. Kobieta, która z radością dopełni twoje życie... Która będzie dyskretna i nade wszystko lojalna.

Dante uniósł brew.

- Więc, mój geniuszu, gdzie znajdziemy ten wzór cnót?

Zapadła cisza, a Ben zeszywniał w obawie, że Mancini posunął się za daleko. Szejk Zayn był przywódcą państwa i zwykle zwracano się do niego z większym szacunkiem. Ale on odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął gromkim śmiechem.

- Nawet nie wiecie, jakie to odświeżające, kiedy ktoś mówi do mnie w taki sposób.

Napięcie gęstniejące od momentu, kiedy razem usiedli, wyraźnie słabło. Dante uśmiechnął się, wznosząc szklankę w kierunku szejka.

- Kiedy w końcu zgodzisz się pogadać ze mną o alternatywnej energii, okażę ci taki brak szacunku, jakiego tylko zapragniesz.

Szejkowi błysnęły wesoło oczy.

- Taką ofertę mogę rozważyć.

- To miło, że wstrzymaliśmy działania wojenne, ale musimy skupić się na promowaniu bardziej uregulowanego stylu życia, żeby poradzić sobie z tą sytuacją - uciał Ben. - W tym celu musimy znaleźć kobiety chętne, by poślubić nas szybko i na dogodnych warunkach. Jak powiedział szejk, kobiety, którym możemy zaufać. Dyskretnie. Lojalnie.

Uśmiech Manciniego zbladł.

- Łatwiej znaleźć jednoroźca na Piątej Alei - powiedział złowrogo.

Zapadła cisza, a wtedy odezwał się Xander Trakas, aż do teraz podejrzanie małomówny.

- Znam kogoś takiego.

Wszyscy spojrzeli na niego, a Ben spytał zaintrygowany:

- Kogo?

- Pewną kobietę. Prowadzi bardzo dyskretnie biuro matrymo-

nialne dla ludzi takich jak my. Zna nasz świat od podszewki...

- Kim jest dla ciebie? - przerwał mu Dante. - Byłą kochanką? Xander rzucił mu gniewne spojrzenie.

- To nie twoja sprawa, Mancini. Uwierzcie mi, jeśli ktoś może nas poznać z odpowiednimi kobietami, to tylko ona.

Ben zwrócił się do szejka Zayna:

- A więc?

- To może być najlepsza opcja... - odparł twardo. - Jeśli mamy to robić, zróbmy to szybko, wszyscy. - Posłał każdemu wymowne spojrzenie.

- W porządku - mruknął z wyraźną niechęcią Dante. - Wezmę na nią namiary, ale niczego nie obiecuję.

Ben podał swój telefon Xanderowi, mając wrażenie, że kołnierzyk zaciska mu się na szyi.

- Wpisz mi jej numer. Zadzwoń do niej w przyszłym tygodniu.

Kiedy Xander wpisywał numer do telefonu Bena, szejek Zayn błysnął jeszcze raz humorem.

- Czy wiecie, że nie pamiętam już nawet, co nas właściwie skłóciło na początku?

Ben uśmiechnął się smutno.

- Chyba za bardzo lubiliśmy ze sobą walczyć.

Xander odłożył telefon Bena na stolik i uniósł szklanę.

- Cóż, może już czas ogłosić wspólną kapitulację w imię wyższego dobra. Odzyskana reputacja przywróci zaufanie do naszych firm i profity. Bo, jak wszyscy wiemy, to jest najważniejsze.

Dante Mancini wzniósł swoją szklanę.

- Racja, dobrze mówi. Panowie, za początek pięknej przyjaźni.

Ben spojrzał na każdego z mężczyzn i chociaż ton Manciniego był lekko kpiący, to naprawdę coś zmieniło się tego wieczoru. Nie byli już wrogami. Stali się sprzymierzeńcami, a możliwe, że nawet przyjaciółmi. Wzniósł swoją szklanę, by dołączyć do pozostałych. Teraz już nic nie stanie im na drodze. Nawet kobiety, z którymi ożenią się z rozsądku.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Ben Carter stał przy oknie w swoim biurze, z którego rozciągała się wspaniała panorama Manhattanu. To, co zwykle cieszyło go najbardziej, kiedy na nią spoglądał, to widok wysoko na niebie dźwigów jego firmy budowlanej, porozrzucanych po całej wyspie. Teraz jednak odwrócony był do okna tyłem i każda część jego ciała była ustawiona na tryb obronny, od skrzyżowanych ramion po sztywną sylwetkę.

- Myślę, że mniej więcej się z tym uporaliśmy. - Powstrzymał przemożną chęć, by spytać ją kąśliwie, czy nie chciała poznać koloru bielizny, którą miał dzisiaj na sobie.

Kobieta siedząca za jego biurkiem zerknęła w jego stronę i zauważyła cierpko:

- Nie lubi pan odpowiadać na osobiste pytania, prawda?

Ben odsłonił zęby w wymuszonym uśmiechu.

- Dlaczego pani tak myśli?

Elizabeth Young, swatka, nonszalancko wzruszyła ramionami, pisząc coś na swoim tablecie.

- Bo wygląda pan, jak gdyby chciał wyskoczyć przez okno.

Ben skrzywił się i wycofał w stronę biurka. Z każdym zadawanym przez nią pytaniem, począwszy od tych niewinnych, typu *Dokąd najchętniej jeździ pan na wakacje?*, po te irytujące, jak *Czego oczekuje pan po związku?*, coraz bardziej się od niego oddalał. Równie mocno jak uświadamiał sobie potrzebę posłubienia odpowiedniej żony, pespektywa przeskoku od życia bez zobowiązań w towarzystwie pięknych kobiet do zaangażowania się w poważny związek, czego wymagał rozsądek, przyprawiała go o ciarki. Po tym, jak był świadkiem rozpadu małżeństwa rodziców, które rozsypało się jak talia kart na pierwszy sygnał kłopotów, nigdy nie marzył o domowym szczęściu. Swatka miała rację: gdyby mógł wyskoczyć oknem, spróbowałby tego.

Siadając, skrzywił się jeszcze bardziej. Czyj to był pomysł?

Xandra Trakasa. Przypominając sobie wczorajszą reakcję Greka na pytanie Manciniego, czy ta kobieta była jego kochanką, otaksował smukłą i elegancką blondynkę za biurkiem.

Lekko kręcone włosy związane miała w koński ogon. Ubrana była ze swobodną elegancją w szyte na miarę spodnie, luźny top i obcisłą, miękką skórzaną kurtkę. Emanowała dyskrecją i profesjonalizmem. Xander miał rację.

Kiedy spojrzała na niego, zauważył, że jej oczy miały niespotykany bursztynowy odcień. Odczekał chwilę, by się przekonać, czy nie działała na jego zmysły. Ale nie odnotował żadnej reakcji. Powiedział sobie, że to dobrze, bo ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebował, była dekoncentracja z powodu kobiety. Co przypomniało mu, w jakim celu się tu spotkali.

- A więc, skoro rozłożyła już pani moją duszę na czynniki pierwsze, kto pani zdaniem będzie dla mnie najlepszą kandydatką na partnerkę?

Uniosła kącik ust w cynicznym uśmiešku.

- Och, bez obaw. Nie mam złudzeń. Wyjawiał mi pan tylko tyle, ile sam pan chciał. Znam mężczyzn takich jak pan, panie Carter, dlatego jestem taka dobra w tym, co robię.

Ben postanowił nie pytać, co właściwie rozumiała przez znajomość mężczyzn takich, jak on. Skoro pomoże mu zdobyć to, czego potrzebował, by przetrwać ten kryzys, to jakie to ma znaczenie? Stwierdził z uznaniem, że nie była nim onieśmielona.

- Polecił mi panią Xander Trakas.

Na te słowa lekko przygasła, podobnie jak Xander tamtego wieczoru w barze, prawie tydzień wcześniej. Unikała wzroku Bena, szarpiąc się z tabletem.

- Mam rozległe kontakty, on jest tylko jednym z wielu.

Zaintrygowało to Bena, ale nie na tyle, by tracić z oczu własne sprawy. Usiadł prosto.

- Proszę zapomnieć, że o tym wspomniałem. A zatem, czy ma pani kogoś konkretnego na myśli?

Odwróciła tablet ekranem w jego stronę, położyła go płasko na biurku i popchnęła w jego stronę.

- Tam pan znajdzie pewne propozycje. Proszę je przejrzeć i sprawdzić, czy któraś wzbudza pańskie zainteresowanie.

Wziął tablet do ręki i zaczął przesuwając na ekranie zdjęcia kobiet wraz z ich krótkimi biogramami. Wszystkie były na swój sposób piękne i nietuzinkowe. Przyjrzał się obrończyni praw człowieka, dyrektorce generalnej firmy komputerowej, tłumaczce z ONZ, supermodelce... ale żadna nie zrobiła na nim wielkiego wrażenia. Już miał zwrócić tablet, kiedy na ekranie pojawiła się jeszcze jedna kobieta i nagle zamarł.

Nawet nie spojrzał na jej życiorys. Oczarowała go. Na fotografii jej ciemnobrązowe, długie do ramion włosy rozwiewał wiatr. Uśmiechała się, pokazując dwa dołeczki. Nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio widział u kobiety dołeczki. Miała wysokie kości policzkowe i ponętne usta. Ciemnoniebieskie oczy z długimi rzęsami. Była jednocześnie niewinna i zmysłowa. I niezwykle, promiennie wręcz piękna. Wydała mu się dziwnie znajoma.

Elizabeth najwyraźniej wyczuła jego zainteresowanie.

- Ach, to jest Julianna Ford. Piękna, prawda? Jest Angielką, mieszka w Londynie, ale szczęśliwie w tym tygodniu właśnie przebywa w Nowym Jorku z powodu dobroczynnego benefisu.

Ben zmarszczył brwi.

- Ford? Tak jak córka Louisa Forda?

Elizabeth przechyliła głowę.

- Zna ją pan?

Zerknął na fotografię jeszcze raz, zanim popchnął tablet z powrotem w stronę Elizabeth.

- Ze słyszenia. Poznałem kilka lat temu jej ojca. Próbowałem go nakłonić, żeby sprzedał mi swoją firmę. Opowiadał wtedy o niej i widziałem w jego domu jej zdjęcia. - Próbował coś sobie przypomnieć. Wyjechała wtedy na wakacje... na narty? Cokolwiek jej ojciec powiedział na jej temat, wzmocniło to tylko wrażenie, jakie wtedy odniósł: że była zepsutą i rozpieszczoną jędnaczką zaślepiętego ojca miliardera.

Ta scena miała miejsce podczas jego pobytu w Londynie, gdzie bogacze nieustannie imprezowali u boku arystokracji. Nie znosił tego. To przypominało mu natrętnie, że gdyby jego ojciec nie był tak skorumpowany, on sam należałby do tego świata. Żyjąc z klapkami na oczach, ślepy na surową rzeczywistość.

A to ona uczyniła z niego człowieka, którym był obecnie. Niezależnym od nikogo i z astronomicznym sukcesem na koncie, stojącym tak mocno na ziemi, że nie groziło mu to, co spotkało jego rodziców.

Oderwał się od przeszłości i bolesnych wspomnień, skupiając uwagę na swatce i na przyszłości. To, co mu oferowała, było okazją nie do zmarnowania. Firma budowlana Forda, o solidnym logo z czarną czcionką na zielonym tle, królowała na budowlanych billboardach w Anglii. Przejmując ją, Ben zdobyłby punkt zaczepienia w Europie. Dlatego właśnie wcześniej o to zabiegał. Louis Ford odrzucił wtedy jego propozycję, pomimo plotek o jego chorobie. Ale od tamtego czasu Ben miał na niego oko. Teraz zaś uświadomił sobie, że o Fordzie przez ostatnie miesiące było cicho. Bardzo cicho.

A córka tego człowieka jest tutaj i szuka partnera. Nagle zrozumiał, że Julianna Ford mogła rozwiązać wszystkie jego problemy. Skoro miał uczynić tak drastyczny krok i związać się dla dobra własnej reputacji i firmy z kobietą, czemu nie miałyby to być małżeństwo przynoszące ze sobą solidny potencjał do ekspansji jego firmy? Jeśli zgodzi się go poślubić, imperium Bena rozszerzy się na Europę, a on osiągnie szczyt, realizując wszystkie swoje plany. A wszystko to z olśniewająco piękną żoną u boku.

Spojrzał na Elizabeth, czując w trzewiach pełne niecierpliwości podniecenie.

- Chcę się z nią spotkać. Proszę zaaranżować randkę.

Lia Ford próbowała pohamować rosnący gniew, ale to było trudne. Jej cienkie wysokie szpilki stuknęły głośno po manhattańskim chodniku, podkreślając jej burzliwy nastrój. Po pierwsze była zła na ojca za wtrącanie się w jej sprawy, nawet jeśli robił to z dobrego serca. Ponadto złościła się na jego sekretarkę, która na jego polecenie przekazała dane Lii do biura matrymonialnego Lewiatan. Miała im za złe nawet wybór jej zdjęcia, które przesłano do agencji. Ojciec zrobił je z zaskoczenia podczas ich radosnej żeglarskiej wyprawy. Było zbyt osobistą pamiątką, by umieszczać je na stronie internetowej biura matrymonialnego.

Agencja Lewiatan miała swoją siedzibę w Nowym Jorku i wcześniej tego dnia Lia udała się do biura Elizabeth Young na Manhattanie. Zrobiła to natychmiast, jak tylko się o wszystkim dowiedziała. Ojciec poinformował ją o tym przez telefon jako o fakcie dokonanym. „Widzisz, kochanie, zrobiłem to dla ciebie. Teraz jedyne, co musisz zrobić, to poznać jakiegoś miłego młodzieńca!”. Chciała zażądać usunięcia stamtąd swoich danych... Dowiedziała się jednak, że ktoś wyraził zainteresowanie spotkaniem z nią. A sama Elizabeth Young ją zaskoczyła. Oczekiwała... W zasadzie, nie była pewna, czego się spodziewała po swatce miliarderów, ale na pewno nie tego, że będzie piękną, młodą kobietą mniej więcej w jej wieku, ubierającą się z klasyczną, swobodną elegancją. Elizabeth Young uosabiała także profesjonalną dyskrecję, na którą Lia wbrew sobie pozytywnie zareagowała. I tak oto, pomimo niechęci Lii, Elizabeth udało się ją jakoś przekonać, by dała temu spotkaniu szansę. Dopiero wtedy pokazała jej zdjęcie omawianego mężczyzny.

Przez kilka długich sekund Lia wpatrywała się w przenikliwe niebieskie oczy i bezczelnie przystojną twarz o bardzo męskich rysach, okoloną gęstymi ciemnymi włosami i emanującą pewnością siebie. Reprezentował dokładnie ten typ mężczyzny, jakiego Lia instynktownie się bała. Taki rodzaj osobowości przypominał jej własną matkę, która odeszła od niej i jej ojca, kiedy Lia miała dziesięć lat. W niepokojący sposób podziała na jej kobiecość, a tego bardzo nie chciała. Nie interesowały jej randki. Próbowwała wcześniej sprawić przyjemność ojcu i zaręczyła się. Skończyło się to jednak dla niej żalonym upokorzeniem, kiedy pewnego dnia zaskoczyła narzeczonego w jego biurze, z twarzą między rozłożonymi nogami sekretarki. „Jesteś oziębła, Lio - rzucił jej potem. - Nie mogę poślubić kobiety, która nie lubi seksu”.

To doświadczenie tylko pogłębiło brak pewności siebie Lii. Poprzysięgła sobie, że skoncentruje się na karierze i udowodni ojcu, że potrafi stanąć na własnych nogach. Niestety on nieustannie chorował i więcej czasu zajmowało jej dbanie o rodzinny interes niż realizacja swoich ambicji.

Elizabeth Young przywróciła ją brutalnie do teraźniejszości,

wyjawiając, kim był ów tajemniczy nieznajomy. Lia spojrzała na nią mrużąc oczy.

- Benjamin Carter? Ten od Carter Construction?

- Tak - przytaknęła Elizabeth Young. - Powiedział, że o pani słyszał, chociaż nigdy pani nie spotkał. Miał jakieś interesy z pani ojcem jakiś czas temu?

Lia poczuła wściekłość. Kilka lat wcześniej Benjamin Carter przyjechał do Londynu i próbował przejąć Ford Construction, firmę jej rodziny. Ojciec wtedy stanowczo odrzucił hojną ofertę Cartera, ale jego zdrowie, zwykle słabe, a szczególnie podupadające w tamtym czasie po paskudnym zapaleniu płuc, teraz jeszcze się pogorszyło. Jeśli się spotka z Benjaminem Carterem, będzie mogła posłać go do wszystkich diabłów, oszczędzając ojcu ponownych nagabywań. Louis Ford był tak dumny, że prędzej by umarł, niż pokazał komukolwiek swoją słabość. Zwłaszcza komuś takiemu, jak ten amerykański potentat, którego ojciec opisał wcześniej jako budzącego grozę.

A teraz Benjamin Carter chce się z nią umówić? Jeśli to zbieg okoliczności, to ona była Cukrową Wieszczką.

Lia stanęła przy przejściu dla pieszych, biorąc uspokajający oddech. Mogła po prostu odwołać to spotkanie, korzystając z pośrednictwa Elizabeth Young. Czuła jednak nieodparte pragnienie poinformowania tego człowieka osobiście, że nie ma szans przejąć firmy jej ojca. A już z pewnością nie za jej pośrednictwem.

Po drugiej stronie ulicy majestatyczny secesyjny Hotel Algonquin piął się ku niebu. Mieli się tam spotkać w nastrojowym barze. Ale jedyne, o czym mogła teraz myśleć, to bezczelnie przystojna twarz i niebieskie oczy. Zastanawiała się, czy jest wysoki. Czy potężnie zbudowany.

Zapaliło się zielone światło i wkroczyła na pasy, zapewniając sama siebie z pasją, że Benjamin Carter z pewnością na żywo ją rozczarowuje. Zresztą, uspokajała się, i tak nie zabawi tam na tyle długo, by to sprawdzić. Nie tracąc czasu poinformuje go, że...

Myśli Lii rozpiezchły się na wszystkie strony, kiedy tuż przed

hotelem wpadła na ścianę. Chwytając oddech, spojrzała w górę i przekonała się, że ta ściana tak naprawdę była bardzo wysokim człowiekiem. Bardzo męskim. O szerokim torsie. Z przenikliwymi niebieskimi oczami.

Mglisto zarejestrowała, że Benjamin Carter na żywo nie rozczarowywał. W najmniejszym stopniu. Wyglądał nawet... korzystniej. Uśmiechnął się. Miał zmysłowe, pięknie wykrojone usta.

- Przepraszam, nie planowałem na wstępie kolizji. Zauważyłem, jak szła pani ulicą. Rozpoznałem panią z fotografii i pomyślałem, że tu na panią poczekam. Dobrze się pani czuje?

Jego głos był mocny i na tyle głęboki, by podziałać na jej zmysły. Speszyla się nieco, ale złożyła to na karb chwilowego szoku i utraty tchu. Skinęła głową i udało jej się wykrztusić:

- Świetnie... doskonale. - Była tak zaabsorbowana zbliżającym się spotkaniem z nim, że na niego wpadła. Łapiąc równowagę, instynktownie chwyciła go za ramiona. Nawet przez materiał płaszcza wyczuła twarde bicepsy. Gwałtownie oderwała od nich ręce, jak gdyby się sparzyła.

Spojrzał na nią przeciągle i cofnął się, wskazując dłonią.

- Proszę, panie przodem.

Zdenerwowana, że uszło z niej powietrze, nie miała innego wyboru, jak tylko ruszyć do wejścia, gdzie czekał już portier, przytrzymując otwarte drzwi. Kiedy wchodziła, uchylił czapki. Usłyszała, jak odezwał się do idącego za nim mężczyzny.

- Witamy ponownie, panie Carter.

- Dziękuję, Tom, to jak zawsze przyjemność.

Zirytowało ją to uprzejme powitanie. Szedł teraz tuż za nią i czuła jego zapach, tak męski jak on sam i bardziej działający na wyobraźnię niż przytłaczający. *Maître d'hôtel* podszedł, żeby ich powitać przy wejściu do ciemnego, urządzonego z przepychem baru, pstrykając palcami na kelnera, by zajął się ich okryciami. Poprowadzono ich do dyskretnego stolika dla dwojga na uboczu. Lia wśliznęła się na obite aksamitem krzesło przy ścianie i obserwowała, jak Benjamin Carter siada naprzeciwko. Teraz, gdy zdjął płaszcz, widziała, że miał na sobie trzyczęściowy garnitur i ciemnoszary krawat. Pomimo uładzonej powierz-

chowności było w nim coś niebezpiecznego i prymitywnego. Powodowana paniką, zaczęła pospiesznie mówić:

- Proszę posłuchać, panie Carter... - słowa zamarły jej na ustach, kiedy wyciągnął do niej rękę z uśmiechem.

- Proszę mi wybaczyć, nie przedstawiłem się. Nazywam się Benjamin Carter.

Wbijane jej do głowy przez całe życie przez ojca i reżim szkół z internatem dobre maniery nie pozwoliły jej zignorować wyciągniętej do niej ręki. Podała mu swoją i kiedy jej dotknął, poczuła zadziwiającą szorstkość jego skóry, co tylko wzmocniło wrażenie, że był mniej cywilizowany, niż na to wyglądał. Ściskając lekko jego palce powiedziała cicho:

- Julianna, Julianna Ford.

Kiedy smukłe, kobiece palce zacisnęły się na jego dłoni, Ben uznał, że nigdy jego zmysły nie zareagowały tak mocno na żadną kobietę. Dotyk jej apetycznie zaokrąglonego ciała, kiedy zderzyła się z nim pod hotelem, wstrząsnął nim do głębi.

Dostrzegł ją, jak szła zamyślona po drugiej stronie ulicy. Gdy jej długie nogi szybko pokonały dzielącą ich odległość, był tak zafascynowany jej wdzięcznymi ruchami, że stanął jak wryty. A wtedy ona z impetem wpadła prosto na niego.

Gdy ich ciała się zderzyły, poczuł wstrząs niczym po zastrzyku adrenaliny w serce. To wrażenie nie było jednostronne. Dostrzegł jej szeroko otwarte, zszokowane oczy i zaróżowione policzki. Zacisnęła mu dłonie na ramionach. Była na tyle wysoka, że wystarczyło, by pochylił głowę, a sięgnąłby do jej ponętnych ust, gdyby zechciał.

Teraz zapatrzył się na jej ciemnoniebieskie oczy, lśniące ciemnobrązowe włosy, bladą cerę w odcieniu kości słoniowej i ponętne usta. Miał ochotę odsunąć stolik na bok i rzucić się na nią tu i teraz. Była wprost olśniewająca. Lekkim szarpnięciem oswobodziła swoją dłoń. Pozwolił jej na to niechętnie.

Podszedł kelner, proponując im coś do picia. Przez moment była speszona, a potem szybko zamówiła burbona z lodem. Ben poprosił o wodę gazowaną.

- Dziękuję, że zgodziłaś się ze mną spotkać - powiedział, kie-

dy zostali sami.

Gdy na niego spojrzała, poczuł podniecenie. A ona nie była nawet wyzywająco ubrana. Miała jasną, zapiętą pod szyję jedwabną bluzkę i ołówkową spódnicę. Delikatny makijaż i biżuterię. Wysokie szpiki. Klasycznie. Elegancko. Ale jeśli chodziło o jego libido, równie dobrze mogła być teraz naga.

- Niech pan posłucha - zaczęła, ale wtedy pojawił się kelner z napojami.

Ben dostrzegł, że szybko upiła łyk bursztynowego trunku, zanim odstawiła szklanekę.

- Jesteś tu, zdaje się, tylko przez tydzień? Mieszkasz w Londynie? - zapytał, wykorzystując moment.

Przełknęła gwałtownie i nawet ten malutki gest był pełen gracji. Jej elegancja robiła na nim ogromne wrażenie. To go dziwiło, bo dawno temu zerwał z chłodnymi pięknościami z wyższych sfer, które do niego lgnęły. Podniecały się na myśl, że były z kimś trochę niebezpiecznym. Twardym. Szorstkim. Pierwotnym. Sprawiało mu przyjemność porzucanie ich, podobnie jak odrzucił cały ich świat. Teraz jednak siedział koło kobiety, która usuwała wszystkie te lafiryndy z towarzystwa w cień jednym uniesieniem eleganckiej brwi. Krew buzowała w nim tak gwałtownie, że z trudem zbierał myśli.

Spojrzeła na niego.

- Ja... tak, mieszkam w Londynie. Więc, szczerze mówiąc, uważam, że ta randka jest zupełnie niepotrzebna.

Miała ostry brytyjski akcent i dopiero po sekundzie dotarł do niego sens jej słów. A wtedy dostrzegł także bardzo chłodny wyraz jej twarzy. Zamrugał.

- Więc po co zgodziłaś się na to spotkanie?

Zmrużyła oczy i wzięła głęboki wdech.

- Ponieważ chciałam spotkać się z panem twarzą w twarz i powiedzieć, że wiem o pańskim wcześniejszym spotkaniu z moim ojcem, gdy chciał pan przejąć jego firmę.

Spojrzeł jej w oczy. Jego ekscytacja osiągnęła stan wrzenia, pomimo lodowatego chłodu z jej strony. Zaskoczenie pokrył nonszalanckim wzruszeniem ramionami.

- Jaki mały jest ten świat.

- Najwyraźniej zbyt mały - odparła cierpko i pociągnęła jeszcze jeden łyk burbona, zaciskając mocno palce na ciężkiej szklance.

- Co masz na myśli?

Na jej bladych policzkach pojawiły się rumieńce.

- To, panie Carter - mocno zaakcentowała jego nazwisko - że mając na uwadze tamtą historię z moim ojcem, nie może pan oczekiwać, żebym uznała tę randkę za czysty przypadek.

Jej cynizm nie powinien go dziwić, a jednak tak się stało. Był teraz w najwyższym stopniu czujny. Ostrożnie powiedział:

- Nie mogę powiedzieć, że to czysty przypadek, nie. Wiem, kim jesteś i kim jest twój ojciec.

Uśmiechnęła się cierpko.

- Dostrzegł pan okazję i ją wykorzystał?

Ben także zmusił się do uśmiechu, próbując złagodzić napięcie.

- Zostałaś klientką agencji Lewiatan, więc najwyraźniej interesują cię randki. Poznawanie ludzi. Skoro mamy ze sobą coś wspólnego, to jest to chyba dobry temat na rozkręcenie rozmowy.

Oczy zaślniły jej niczym dwa szafiry.

- Cóż - odparła zimno - obawiam się, że nie jestem zainteresowana rozmową z panem, panie Carter. Przyszłam tu wyłącznie po to, by poinformować pana o tym, gdyby miał pan jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości.

Z tymi słowami jednym haustem dopiła drinka i chwyciła torebkę zawieszoną na oparciu krzesła obok. Wstała i spojrzała na niego z góry.

- A co do mojego ojca, jego stanowisko się nie zmieniło, więc sugeruję, żeby poszukał pan możliwości gdzie indziej. Dziękuję za drinka, panie Carter, proszę mnie nie odprowadzać.

Zanim Ben zdołał pojąć do końca, co się dzieje, zarzuciła torebkę na ramię i odeszła od stolika.

Kiedy w końcu oszołomiony podniósł się, zdołał ujrzeć tylko, jak zaniepokojony *maître d'hôtel* pomaga jej założyć płaszcz. Wyszła z baru, nie oglądając się za siebie. Spojrzał z niedowierzaniem na zegarek. Ta randka nie trwała nawet kwadransa.

Usiadł znowu, jej wyniosłe słowa wciąż rozbrzmiewały mu w głowie. „Sugeruję, żeby poszukał pan możliwości gdzie indziej”. Gdyby to nie było tak niepokojące, byłoby zabawne. Tak naprawdę, dopóki ona sama nie podniosła tego tematu, myśl o jej ojcu była ostatnią, jaka przychodziła mu do głowy. Julianna Ford, z jej błyszczącymi niebieskimi oczami i tym bezczelnym akcentem, całkowicie zbiła go z tropu. Potraktowała go pogardliwie i lekceważąco. Jak gdyby nie był wart, żeby czyścić jej buty.

Skinał, prosząc o rachunek. Wiedział, że powinien o niej zapomnieć, ale krew nadal mu wrzała. Z żądzą i irytacją, że zalała mu za skórę tak bardzo w tak krótkim czasie. Kilka sekund później wyszedł z ponurą miną. Nikt nie brał go z zaskoczenia, z pewnością nie kobieta. A zwłaszcza taka, której pożądał.

Lia nadal drżała od nadmiaru adrenaliny, kiedy taksówka wiozła ją do hotelu Central Park. Kręciło jej się w głowie po zbyt szybko wypitym alkoholu. Trunek zapewnił jej jednak odwagę, jakiej potrzebowała, by powiedzieć to, co musiała, najbardziej onieśmielającemu mężczyźnie, jakiego spotkała w życiu.

Ciągle miała go przed oczami rozpartego na krześle za stołem, z twardymi mięśniami i szerokimi barkami, w garniturze, który nie tuszował jego męskiej energii. Seksowny uśmiezek igrał mu na ustach. Nie mogła uwierzyć, że zebrała w sobie siłę, by stanąć i spojrzeć na niego z góry i wypowiedzieć tamte pogardliwe słowa, ani w to, że zdołała po tym wyjść na miękkich nogach.

Kiedy tego potrzebowała, potrafiła przywdziać lodowatą maskę pewności siebie. Tę umiejętność opanowała po odejściu matki, po tym, jak podsłuchiwała jej okrutne słowa. „Oczywiście nie zabiorę ze sobą Lii. Co bym zrobiła z dzieckiem, które jąka się i rumieni, ilekroć ktoś na nią spojrzy?”. Nawet teraz, po latach, nadal palił ją wstyd pomieszany z upokorzeniem. Nadopiekuńczość i miłość ojca nie mogły uleczyć blizn po odrzuceniu, ale od tamtego dnia Lia przestała się jąkać. Rumienienie się jednak... Przyłożyła dłoń do rozgrzanego policzka. Najwyraźniej wciąż nie miała nad tym kontroli.

Benjamin Carter na szczęście wtedy siedział. Na myśl, że musiałyby powiedzieć mu to wszystko, gdyby stał w całej swojej onieśmielającej postaci, zaschło jej w gardle. Udało jej się, taką miała nadzieję, przekonać go, że jej absolutnie nie interesował. Ale jej szalejący puls dowodził czegoś zgoła przeciwnego. To dlatego wybiegła z hotelu, potykając się i zatrzymując dopiero na zewnątrz, chwytając haust chłodnego jesiennego powietrza tak gwałtownie, jak gdyby właśnie przebiegła maraton. Na szczęście portier wezwał natychmiast dla niej taksówkę i właśnie dojeżdżała do swojego hotelu. Zapłaciła i próbowała nie wpaść pędem do środka, gnana irracjonalnym lękiem, że duża dłoń wyląduje za moment na jej ramieniu.

Niewiele później Ben znalazł się w swoim obszernym apartamencie. Nie zwracał uwagi na donośne syreny dobiegające z tętniącej gdzieś w dole życiem dzielnicy Meatpacking. Nerwowo chodził po mieszkaniu. Zdjął marynarkę i krawat, czując, że się dusi. Głowę nadal miał pełną obrazów Julianny Ford z jej chłodną arystokratyczną urodą. Nurtowała go wyraźna niechęć, jaką mu okazała, i natychmiastowa konkluzja, że to spotkanie miało coś wspólnego z jej ojcem. Nie próbował przed nią udawać, że nie wiedział, kim była. Po prostu nie wspomniał o tym zawczasu.

Telefon zaczął mu wibrować w kieszeni i wyjął go, krzywiąc się na widok nazwiska Elizabeth Young na ekranie. Odezwała się z dezaprobatą:

- Nie wiem, co zaszło między panem a Julianną Ford, ale ona nie chce więcej pana widzieć i poleciła wycofać swoje zdjęcie z mojego portfolio.

Poczuł jednocześnie złość i radość, że Lia nie chciała spotkać się z innym mężczyzną. To także potwierdziło jego podejrzenie, że miała coś do ukrycia... jakąś słabość. A w nim dostrzegła zagrożenie.

- Żałuję, że to spotkanie nie wypadło dobrze, ale zajmę się tym.

Elizabeth Young odpowiedziała ostro:

- Nie tak prowadzę swoje interesy, panie Carter. Nie może

pan jej nagabywać, skoro wyraźnie nie życzy sobie więcej pana widzieć.

To przypomnienie zirytowało Bena, podobnie jak aluzja, że ktoś miał prawo mówić mu, co ma robić. Ale nie mógł pozwolić sobie na to, żeby zrazić do siebie tę kobietę. Była kluczem do przyszłości ich wszystkich. Tylko że teraz czuł determinację, by wziąć przyszłość w swoje ręce.

- Zapewniam panią, że nie będę jej nagabywał za pośrednictwem pani biura.

Na moment zapadła cisza, a potem Elizabeth Young rzekła:

- Dziękuję. Jeśli kiedyś będzie pan gotowy spotkać się z kimś ponownie, możemy zaaranżować kolejną randkę. Ale muszę pana ostrzec, że nie będę tolerować nikogo, kto zraża do siebie moją klientelę.

Poczuł coś w rodzaju szacunku do mówiącej prawdę bez ogródek swatki. Z pewnością potężni mężczyźni jej nie onieśmielali.

- Julianna Ford i ja okazaliśmy niezgodność charakterów, to wszystko. Tak czasem bywa. Jeśli będę potrzebował pani usług, zadzwonię. Do widzenia, panno Young.

Rozłączył się, już zdecydowany. Może i była to niezgodność charakterów, ale między nim a tą olśniewającą ciemnowłosą angielską pięknoscią coś wyraźnie zaiskrzyło, nieważne, jak bardzo lodowate było jej zachowanie. Wiedział, że przyjechała tu, by uczestniczyć w imprezie charytatywnej. Nowy Jork może się okazać zaskakująco mały, jeśli ktoś porusza się w określonych kręgach. Mogą spotkać się znowu przypadkiem, już nie za pośrednictwem agencji Elizabeth Young. Tak jak obiecał.

Wydał przez telefon zwięzłe instrukcje swojej asystentce. Wmawiał sobie, że jego ekscytacja bierze się stąd, że Julianna Ford daje mu szansę na publiczne i zawodowe odkupienie. Nie zaś stąd, że jej chłód tak cholernie go zaintrygował. Ani stąd, że pragnie jej bardziej niż jakiegokolwiek innej kobiety.

ROZDZIAŁ DRUGI

Następnego wieczoru Lia przyglądała się sobie krytycznie w wielkim lustrze wiszącym w jej hotelowym apartamencie. Długa wieczorowa suknia jak na jej gust była zbyt wycięta. Nie miała rękawów, za to głęboki dekolt oraz rozcięcie wysoko na udzie, a na dodatek była w jaskrawoczerwonym kolorze. Choć Lia wiła się na myśl o noszeniu tak wyzywającej kreacji, wiedziała, że dzięki temu zdoła skutecznie odwrócić uwagę od nieobecności jej ojca na aukcji charytatywnej w jednym z najbardziej snobistycznych hoteli na Manhattanie, gdzie był oczekiwany.

Sama chciała się tam znaleźć niezależnie, bo fundacja dobroczynna, wspierająca odbudowę regionów dotkniętych kataklizmami, była bliska jej sercu.

Krótką rozmowa z ojcem uspokoiła ją nieco. Wydawał się weselszy niż w ostatnich dniach. Jego niedawny udar, chociaż łagodny, mocno ich oboje wystraszył. Powiedziała mu, że wybrała się na randkę. Ucieszył się tak bardzo, że nie miała serca powiedzieć mu, z kim się umówiła. Ostatnie, czego potrzebował, to usłyszeć nazwisko Benjamina Cartera. Z pewnością doszedłby do wniosku, że mężczyzna miał jakieś ukryte motywy. Bo sępy już krążyły, czyhając na szansę, by wykorzystać słabość Louisa Forda.

Lia upewniła się co do tego, robiąc ostatniej nocy rozeznanie w internecie na temat Benjamina Cartera. Znalazła jego zdjęcie, zrobione z ukrycia z trzema najbardziej notorycznymi playboyami i słynnymi rywalami biznesowymi: Xandrem Trakasem, Dantem Mancinim i szejkiem Zaynem Al-Ghamdim, których nazwiska nieodmiennie łączono z ogromnymi fortunami, pięknymi kobietami i niechęcią do zawierania związków. W towarzyszącym fotografii artykule zwracano uwagę na to, że wszyscy oni mieli w ostatnich miesiącach bardzo złą prasę i spekulowano,

dlaczego postanowili nagle zjednoczyć siły.

Zorientowała się, że popełniła taktyczny błąd, okazując Benjaminowi Carterowi jawną niechęć. Nie zaprzyjaźniał się ze swoimi odwiecznymi wrogami bez powodu. Nie zaprosił jej, ot tak, na randkę, kiedy mógł się umawiać z niezliczoną rzeszą piękniejszych i chętnych kobiet. Najwyraźniej coś knuł.

Czytając o nim dowiedziała się, że sam stworzył własną legendę człowieka wywodzącego się z nizin, dorastającego w rodzinach zastępczych w Queens, aby piąć się w górę w budowlanej hierarchii na wszystkich placach budowy Nowego Jorku. Na przestrzeni dekady wspiał się na sam szczyt branży. Dosłownie. Jego firma wznosiła obecnie budynek, który miał być najwyższym drapaczem chmur na Manhattanie.

Według plotkarskich portali był bezwzględny w stosunku do kobiet, szybko nudząc się kolejnymi zdobyczami, co zdarzało się zwykle już po jednej lub góra dwóch randkach. Informacje te nie powstrzymały jednak Lii przed snuciem niebezpiecznie melancholijnej fantazji, w której wpada na ulicy na Benjaminą Cartera, a on okazuje się po prostu przypadkowym pięknym nieznajomym. Po raz pierwszy po upokarzającym zerwaniu z rączyn rok wcześniej czuła, że jakiemuś mężczyźnie udało się pokonać wysoki mur obojętności, jaki wokół siebie zbudowała. To tylko dowodziło, że była tak samo nieodporna na jego urok, jak inne kobiety. Pomimo swojej oziębłości. Widocznie męski czar Benjaminą Cartera mógł stopić najgrubszą warstwę lodu.

Zerknęła złowrogo na ekstrawagancki bukiet kwiatów umieszczony w wazonie przez sumienną pokojówkę. Dołączony do niego bilecik wylądował podarty na kawałki w koszu. Ale nie musiała ich stamtąd wyciągać, by przypomnieć sobie, co napisał swoim aroganckim charakterem pisma. Ku własnej irytacji zapamiętała te słowa bez trudu: „Do zobaczenia, Julianno. Ben”.

Nie dziwiło jej, że wiedział, gdzie się zatrzymała. Człowiek taki jak Benjamin Carter miał na pęczki sługusów do brudnej roboty.

Lia chciała zadzwonić do Elizabeth Young, by jeszcze raz potwierdzić, że on jej nie interesuje, ale uświadomiła sobie własną

śmieszność. Pomimo swego nieokrziesania Benjamin Carter nie upadłby tak nisko, by nagabywać kobietę. A za kilka dni Lia będzie już daleko, bezpieczna z powrotem po drugiej stronie Atlantyku. Spojrzała na własne odbicie i z westchnieniem ulgi przymierzyła misterną koronkową czarną maskę. Na szczęście motywem przewodnim aukcji miała być maskarada. Odsuwając na bok niepokojące myśli o ciemnym, przystojnym, irytującym mężczyźnie, zebrała swoje rzeczy i wyszła z hotelu.

Niecałą godzinę później musiała się siłą powstrzymać, by nie podciągać do góry głęboko wyciętego gorsetu swojej sukni. Kobiety wokół nosiły wprawdzie o wiele odważniejsze kreacje, ale Lia czuła, że jeśli jeszcze jeden mężczyzna, zerkając jej w dekolt, omal nie połknie własnego języka, to ona zacznie krzyczeć. Dopiero kiedy trzech mężczyzn nieodwracający wzroku od jej biustu zniknęli w tłumie, westchnęła z ulgą.

Odwróciła się w poszukiwaniu kelnera, żeby się czegoś napić, wtedy ktoś w tłumie ją popchnął. Zachwiała się niebezpiecznie, ale czyjeś mocne ręce chwyciły ją i ocaliły przed upadkiem. Z bijącym sercem podniosła wzrok i ujrzała mężczyznę, bardzo wysokiego i barczystego. Miał na sobie biały smoking, białą koszulę i czarną muchę. Nosił, podobnie jak większość tu obecnych, maskę. Tyle tylko, że jego maska zasłaniała mu całą twarz. Widoczne były tylko ciemne, gęste włosy. Przez moment serce jej drgnęło, bo pomyślała... Czy Benjamin Carter wywarł na niej aż tak mocne wrażenie, że widziała go w każdym nieznanym mężczyźnie?

- Dobrze się pani czuje? - odezwał się człowiek w masce.

Uspokoiliła się momentalnie, nie rozpoznając tego zniekształconego głosu. Czuła ciepło jego dłoni na nagiej skórze i uświadomiła sobie, że nadal ją podtrzymuje. Skołowana, cofnęła się o krok.

- Świetnie, dziękuję... Przepraszam. Szukałam kelnera, bo chce mi się pić.

- Pani pozwoli. - Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki u jego boku natychmiast zjawił się kelner i nieznanomy podał jej kieliszek szampana. Zauważyła, że sam nie pił. Pociągnęła łyk

zimnego musującego trunku i, uspokajając się powoli, odsunęła na bok jakąkolwiek myśl o Benjaminie Carterze. – Pan nie pije?

– Lubię zachowywać przytomność umysłu. Zresztą moja matka nie ułatwia mi picia. Musiałbym ją najpierw zdjąć, a to by popsuło zabawę. – Głos miał chłodny, sardoniczny. Głęboki.

Poczuła lekkie podniecenie. Nie mogła widzieć jego oczu, schowanych pod maską. Nie wiedziała, czy spoczywają na niej i czy podoba mu się to, co widzi. Czowała przyjemne ciepło i nieznaną pewność siebie. Zduśiła histeryczny chichot. – Powinien pan wybrać jakąś mniej kłopotliwą.

Tłum zdawał się napierać na nich zewsząd, popychając ich na siebie.

– Robi się tutaj trochę klaustrofobicznie, nie uważa pan?

– Może wyjdziemy na powietrze?

Przytaknęła z bijącym sercem. Zręcznie uwolnił ją od niedopitego kieliszka i podał jej ramię. Otworzył przeszklone drzwi na taras i wyprowadził ją na powietrze. Jesienne, jeszcze nie zimowe powietrze było rześkie. Odsunęła się od niego i wzięła głęboki wdech. Poczuła zawrót głowy. Złożyła to na karb musującego wina i nagłego dotlenienia. Wokoło błyszczały światła Manhattanu, opodal majaczył ciemny Central Park. Oboje milczeli, ale ta cisza nie była krępująca.

– Ten widok nie mógłby mi się znudzić, nawet gdybym tu mieszkała.

Mężczyzna odwrócił się do niej.

– A gdzie pani mieszka?

Zerknęła na niego. To, że nie wiedziała, z kim właściwie rozmawia, było w pewnym sensie wyzwalające. Można było porzucić konwencjonalną towarzyską uprzejmość. Jego szeroki tors pod koszulą sprawiał, że świerzbiły ją ręce. Czowała się przy nim bardzo kobieco.

– Pod Londynem, w Richmond.

Mężczyzna lekko gwizdnął z podziwu. Uśmiechnęła się.

– Zna pan to miejsce?

– To przyjemna okolica. Zamożna. – Usłyszała uśmiech w jego głosie.

– Bilety na ten wieczór kosztowały od sześciu tysięcy dolarów

wzwyż za sztukę, więc zgaduję, że nie są panu obce bardziej luksusowe rejonny.

- Nie przeczę. - Wzruszył lekko ramionami.

Zdawało jej się, że dostrzega błysk jasnych oczu zza maski i serce jej zabiło. Nigdy nie czuła się komfortowo, flirtując, bo dorastała bez matki, która mogłaby służyć jej w takich sprawach radą. Szkoły z internatem dla dziewcząt, do których uczęszczała, także nie pomogły jej oswoić się z towarzystwem chłopców i mężczyzn, chociaż udało jej się pokonać w tym czasie dojmującą nieśmiałość, zatruwającą jej dzieciństwo. Ale tamta niezręczna, jękająca się dziewczynka nawet teraz kryła się w Lii gdzieś głęboko i wiele z tego, co uzewnętrzniała, było usilnie wypracowane. Tak skutecznie, że jej były narzeczoncy nie mógł uwierzyć, gdy odkrył, że była dziewicą, kiedy po raz pierwszy poszli do łóżka. To jeszcze zwiększyło upokorzenie, jakie odczuwała, kiedy to doznanie okazało się bolesne i przytłaczające.

Teraz jednak czuła się pewna siebie i beztroska.

- A więc pańską rolą dziś wieczór jest bycie możliwie najbardziej tajemniczym i nierozpoznawalnym?

- Udaje mi się? - powiedział to lekko, ale ona wyczuła rosnące napięcie.

- Cóż, nierozpoznawalność doprowadził pan do perfekcji.

- Ach, najwyraźniej muszę jeszcze popracować nad tajemniczością.

Lia odniosła nieodparte wrażenie, że bycie tajemniczym przychodziło mu bez trudu i wiedział o tym. Nawet nie widząc jego twarzy, wyczuwała w nim autorytet i charyzmę. Był kimś.

- Czy przedstawimy się sobie? - spytała beztrosko.

- A chciałaby pani?

Przytaknęła, a potem lekko zadrżała. Wyczuwała jego spojrzenie, chociaż nie widziała jego oczu. Było niczym pieszczota. Najwyraźniej zmylony jej drzeniem, zdjął marynarkę i otulił nią jej ramiona, zanim zdołała zaprotestować. Poczwała ciepło jego palców na skórze.

- Dziękuję - jej głos zabrzmiał ochryple.

Stał teraz bliżej, wystarczająco, by mogła poczuć bardzo mę-

ski zapach z nutami drzewnymi i piżmowymi.

Nieznajomy odezwał się głębokim głosem.

- Czy na pewno chce pani, byśmy się sobie przedstawili?

- Nie jestem pewna... ale nie możemy ukrywać się bez końca.

Znowu usłyszała w jego głosie uśmiech.

- To jednak kuszące, prawda?

Kiwnęła głową, czując, jak coś się w niej roztapia. Bezradnie zrobiła krok w jego stronę. On zbliżył się do niej w tym samym momencie i dotknął dłonią jej brody.

- Jest pani piękna, czy wie pani o tym?

Potrząsnęła głową, zawstydzona. Wiedziała bez fałszywej skromności, że mogła się podobać, ale nigdy nie czuła się piękną. Czasem dostrzegała u innych kobiet wrodzoną zmysłowość, której im zazdrościła. To nie miało nic wspólnego ze świetną figurą czy ładną buzią. Ale teraz... nawet z twarzą w połowie zakrytą maską odkryła w sobie coś takiego. Usta jej zadrżały i wyobraziła sobie, że on na nie patrzy. Rozchyliła wargi... Atmosfera zrobiła się gęsta i ciężka.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego maski. Serce biło jej tak mocno, że zastanawiała się, czy on to słyszy. Desperacka pragnąc ujrzeć jego twarz i dotknąć ustami jego ust, uniosła mu maskę, ale chwycił ją za nadgarstek, powstrzymując ją.

- Może nie spodoba się pani ten widok.

Potrząsnęła głową. Musiała się dowiedzieć, kim on jest. Uwolniła swoją dłoń szarpnięciem i właśnie miała zerwać mu maskę, kiedy jakiś głos przedarł się przez ciężką ciszę.

- Lia! Tu jesteś. Wszędzie cię szukam! Musisz mi pomóc.

Nastrój prysnął. Mężczyzna cofnął się i ręka Lii opadła. Serce biło jej tak gwałtownie, jak gdyby właśnie się całowali. Uświadomiła sobie, że cała drży. Miała ochotę krzyczeć. Intruzem okazała się zaprzyjaźniona z nią szefowa aukcji, mieszkająca tu na stałe Angielka, Sarah. Spotykały się, ilekroć Lia przyjeżdżała do Nowego Jorku.

- Co się stało?

- Stacy Somers, ta supermodelka, miała tu przybyć na aukcję, która rozpoczyna się za dziesięć minut - oświadczyła w panice.

- Umowa była taka, że wystawi na aukcji swój pocałunek, a te-

raz utknęliśmy.

Lia szeroko otworzyła oczy.

- Ale... chyba nie myślisz, że ją zastąpię? - Pewność siebie natchmiast ją opuściła. - Daleko mi do supermodelki i prawie nikt mnie tu nie zna!

Przyjaciółka spojrzała na nią oszalałym wzrokiem.

- Lio, błagam cię. Wyglądasz dzisiaj fantastycznie. Nikogo nie będzie obchodzić, kim jesteś. To aukcja dobroczynna. Specjalna atrakcja, wydrukowana w programie i moja szefowa wścieknie się, jeśli cały plan weźmie w łeb...

Lia poczuła się osaczona. Sama myśl o tym, że wszyscy będą się na nią gapić, przyprawiała ją o zimne poty. Wtedy odezwał się głęboki głos zza jej pleców.

- Ja zapłaciłbym za twój pocałunek.

Spojrzała do góry. W momencie paniki niemal zapomniała o jego obecności. A teraz poczuła podniecenie.

- Przepraszam, ale kim pan jest? - To pytanie zadała Sarah, a Lia nagle przestraszyła się, że nieznajomy wyjawi swoje nazwisko. W ułamku sekundy podjęła decyzję.

- Zrobię to.

Przyjaciółka westchnęła z ulgą. Lia zdjęła marynarkę i oddała ją nieznajomemu. Ich dłonie dotknęły się na moment i poczuła dreszcz. Czy podejmie rzucone mu wyzwanie? Czy wylicytuje pocałunek z nią i wyjawi, kim jest? Zanim mogła się nad tym zastanowić, Sarah chwyciła ją za rękę i pociągnęła za sobą do zatłoczonej sali, trajkocząc o tym, co chciała, by Lia zrobiła. Z trudem cokolwiek do niej docierało.

Zerknęła tylko raz do tyłu, ale nieznajomy zniknął. Przez szaloną, krótką chwilę zastanawiała się, czy nie był wytworem jej wyobraźni i czy jeszcze kiedyś go zobaczy.

- A teraz, kto rozpocznie licytację pocałunku z naszą uroczą angielską różą, Julianną Ford. - Zza wysokiej mównicy rozległ się aksamitny głos prowadzącego aukcję.

Benjamin stał z boku ze skrzyżowanymi ramionami i dłońmi wsuniętymi pod pachy. Bał się, że mógłby się rzucić i udusić nimi każdego, kto ośmieliłby się wylicytować pocałunek ze sto-

jąca na podium kobietą. Z włosami odgarniętymi do tyłu i odsłoniętą długą szyją Lia wyglądała kusząco, a jednocześnie dziwnie bezradnie. Pomyślał, że ktoś z jej kręgu towarzyskiego powinien być przyzwyczajony do pokazywania się publicznie w taki sposób. Wczoraj wieczorem z pewnością nie brakowało jej pewności siebie.

Teraz miała na sobie wymyślną, czarną koronkową maskę, zasłaniającą górną połowę jej twarzy, która dodawała jej urodzie tajemniczości. Ale nie zasłaniała jej błyszczących niebieskich oczu ani tych cudownych ust.

Wyczuwał zainteresowanie ze strony innych mężczyzn i gwałtowny przypływ zaborczości, jakiej wcześniej nigdy nie odczuwał wobec żadnej innej kobiety. Z przodu odezwał się jakiś głos:

- Pięć tysięcy dolarów!

Oferty rosły. Dziesięć tysięcy, piętnaście... dwadzieścia...

Nagle rozległ się grzmiący głos.

- Pięćdziesiąt tysięcy! - Ben rozpoznał ten głos momentalnie. Należał do jego odwiecznego rywala, od lat próbującego zrujnować mu firmę. Widział, jak ten mężczyzna przedziera się teraz przez tłum, mały i przysadzisty, z wytrzeszczonymi oczami i kroplami potu na brwiach. Nawet ze swego miejsca widział, jak oczy Julianny za maską ogromnieją na ten widok.

Prowadzący aukcję uniósł młotek i spytał, czy ktokolwiek chciałby po raz ostatni podnieść stawkę. Nikt się nie poruszył. Myśl o tamtym człowieku zbliżającym się do Julianny wzbudziła w Benie agresję. Prowadzący opuścił młotek raz, potem drugi... Kiedy już miał uderzyć po raz trzeci, Ben przerwał ciszę pewnym głosem.

- Milion dolarów.

Tłum z westchnieniem odwrócił się w jego stronę. Ben zbliżył się do podium, a ludzie się przed nim rozstępowali.

- Ale chcę czegoś więcej niż pocałunek. Za milion dolarów chcę spędzić z Julianną Ford cały weekend.

To był on. Nie był wytworem jej wyobraźni. Próbowwała znaleźć go w tłumie, kiedy ludzie podbijali stawkę za pocałunek, zwijając się ze wstydu, ale próbując nie dać tego po sobie poznać. Cała jej pewność siebie i brawura, jakie odczuwała, stojąc

na tarasie, w blasku reflektorów zbladły.

Ale on był tutaj. Nadal w masce, podobnie jak wielu innych. Kim on był? Jak gdyby czytając jej w myślach, powiedział:

- Jeśli się pani zgodzi, wyjawię swoją tożsamość.

Serce jej zabiło. Kusiło ją, by rzucić na wiatr ostrożność i zachować się niekonwencjonalnie. Pomijając wszystko, darowizna miliona na jej ulubioną fundację była fantastyczna. Prowadzący aukcję chrząknął lekko.

- Panno Ford? Czy akceptuje pani te warunki? To trochę nietypowe...

Z poczuciem, że skacze głową w dół w nieznane, przytaknęła nerwowo. Wiedziała, że nikt więcej nie podbije stawki, bo kto postawiłby więcej niż milion? To było szaleństwo.

- Myślę, że wszyscy chcielibyśmy się dowiedzieć, kim jest nasz tajemniczy darczyńca, a już na pewno panna Ford, która ma spędzić z nim weekend - powiedział prowadzący.

Nerwowy śmiech przebiegł przez tłum, kiedy mężczyzna sięgnął do twarzy, by zdjąć z niej maskę. Sekundę wcześniej Lia uchwyciła błysk niebieskich oczu i dreszcz przebiegł po jej kręgosłupie. Nie. To niemożliwe. Tylko nie to. Czarna maska opadła i wokół rozległo się zbiorowe westchnienie kobiecego zachwytu, kiedy Benjamin Carter ukazał się w całej swojej ciemnej, męskiej, chępliwej urodzie.

Lia zachwiała się jak pod ciosem. Dyrektorka fundacji podeszła do niej z błyszczącymi oczami, ściskając jej rękę i mówiąc, jak wiele to dla nich wszystkich znaczyło, ale Lia mogła myśleć tylko o jednym. Ja go zabiję.

Nagle wielka ciepła dłoń owinęła się wokół jej łokcia, wywołując w niej dreszcze. Usiłowała wyrwać mu ramię, ale on tylko wzmocnił uścisk i kolejny dreszcz przebiegł po jej ciele, nie całkiem nieprzyjemny. Kiedy dyrektorka fundacji wznosiła na jego cześć peany, powiedział gładko:

- Panna Ford zainspirowała mnie swoim oddaniem, oferując siebie dla dobra fundacji, a jak wiecie, ta sprawa bliska jest mojemu sercu.

Akurat. Niczego tak nie pragnęła, jak zaatakować go i powiedzieć mu, co myśli o jego ekstrawaganckim wyczynie, ale nie

mogła. Nie po takiej publicznej demonstracji hojności.

W końcu pożegnał dyrektorkę fundacji i wyszedł z sali, zabierając ze sobą Lię. Ludzie patrzyli za nimi i szeptali. Lia uchwyciła więcej niż kilka zazdrosnych spojrzeń i miała ochotę zawołać: „Ależ proszę, weźcie go sobie!”. Ale tylko zacisnęła zęby, wychodząc.

Gdy znaleźli się w lobby, zaprowadził ją do kąta, gdzie skryli się pod wysokimi palmami. Lia w końcu oswobodziła rękę.

- Co pan, do diabła, wyprawia?

Wsadził ręce w kieszenie, absolutnie odprężony.

- Poza okazaniem niezwyklej hojności, myślę, że reszta jest dosyć oczywista - zamruczał.

- To - wyrzuciła z siebie - to była najbardziej prostacka demonstracja bogactwa, jaką widziałam w życiu.

- Nie wydawałaś się specjalnie uszczęśliwiona na myśl o pocałunku z Saulem Goldsteinem.

Zmusiła się, żeby się nie wzdrygnąć na wspomnienie widoku pulchnych ust tamtego mężczyzny. Uniosła brodę.

- Wolałabym całować się z nim codziennie przez tydzień niż spędzić choćby minutę w pańskim towarzystwie.

Prychnął kpiąco.

- Takie silne emocje, Lio...

Zarumieniła się.

- Tylko przyjaciele i członkowie rodziny nazywają mnie Lią, a pan do nich nie należy.

- Zraniłaś mnie... - Przyłożył dłoń do serca.

Nie mogła sobie wyobrazić niczego, co mogłoby zranić tego człowieka. Był niczym żywiol. Odporny na jakiekolwiek groźby i nieustannie okazywaną przez nią złość.

- Nie musiałaś się na to godzić - zauważył.

- Zdradził pan swoją tożsamość już po tym, kiedy wyraziłam swoją zgodę. Zapędził mnie pan w ślepią uliczkę, panie Carter. Nie miałam wyboru.

Oczy mu zalśniły.

- My zawsze mamy wybór, Lio.

- Zwodził mnie pan, chowając się za swoją maską. Dlaczego nie powiedział pan, kim jest?

- A dlaczego pani mi nie powiedziała?

Zacisnęła dłonie w pięści.

- Wykorzystał pan sytuację. Najwyraźniej niewiele kobiet wychodzi z randek z panem, ale jeśli to z powodu pańskiej urażonej dumy, to...

- Nie bądź śmieszna. Naprawdę myślisz, że jestem aż tak małostkowy, żeby zapłacić niebotyczną kwotę za weekend z kobietą, która dała mi kosza?

Stojący przed nią mężczyzna na pewno nie był małostkowy. Lia nagle uświadomiła sobie, że nie była pewna, czy chce się dowiedzieć, dlaczego właściwie zapłacił za nią wszystkie te pieniądze.

- Nie będzie żadnego wspólnego weekendu. To niedorzeczne, że miałabym dokądkolwiek jechać z nieznanym. Wszyscy rozumieją, że to był tylko taki gest.

Potrząsnął głową i podszedł bliżej, a ona poczuła, że traci równowagę. Chciała od niego uciec. Daleko.

- Niech pan posłucha - powiedziała lodowatym tonem. - Nie wiem, jak tutaj w Ameryce, ale my w Anglii nie lubimy takich demonstracji bogactwa. Doceniam, że zobowiązał się pan wesprzeć fundację pokazną kwotą, ale nie ma mowy, żebym pojechała z panem dokądkolwiek, za milion dolarów lub nie.

Benjamin Carter, niech go diabli, tylko się uśmiechnął.

- Nie musisz być taka protekcyjna, skarbie.

Zrobiło jej się gorąco. Zwykle nigdy nie zniżala się do takiej impertynencji, ale ten mężczyzna budził w niej diabła.

- I owszem, pojedziesz ze mną. Bo jeśli nie, to oznajmię dyrektorze fundacji, że choć publicznie zaakceptowałaś warunki, to odmawiasz wypełnienia swoich zobowiązań. I dlatego wycofam swoje pieniądze.

Krew spłynęła Lii do nóg.

- Nie ośmielisz się.

Wyjął ręce z kieszeni i skrzyżował je na piersi.

- Naprawdę chcesz mnie sprawdzić?

Osaczona i przyparta do muru spytała:

- Dlaczego to robisz? Jeśli nie z zemsty... to dlaczego?

Patrzył na nią przez długą chwilę.

- To bardzo proste, Lio. Pragnę cię.

ROZDZIAŁ TRZECI

Coś zaiskrzyło i tamte bardzo bezpośrednie słowa Bena zdały się wisieć między nimi jak wyzwanie. Z szeroko otwartymi oczami próbowała zrozumieć, co właściwie powiedział, a w końcu odezwała się lodowato:

- A więc pragnie mnie pan tak bardzo, żeby zapłacić za tę przyjemność milion dolarów? Nie wiem, z kim pan się zwykle zadaje ani za kogo mnie pan bierze, ale nie jestem jakąś luksusową...

- Doskonale wiem, kim jesteś - przerwał jej szorstko, rozłoszczony jej insynuacją.

Od dawna nie czuł potrzeby tłumaczenia się przed kimkolwiek, a już na pewno nie przed kimś, kto pochodził ze sfery towarzyskiej, która odwróciła się niegdyś do niego plecami. Ale nie mógł się powstrzymać.

- Nigdy w życiu nie płaciłem kobiecie. Nie muszę.

O dziwo, zarumieniła się i nagle przestała być taka pewna siebie.

- Co ma pan na myśli, mówiąc, że wie pan, kim jestem?

- Może nie należysz do rodziny królewskiej, ale jesteś księżniczką. Kimś, komu nigdy niczego w życiu nie odmówiono. Nie lubisz mnie, bo cię podniecam, a ty nie lubisz, kiedy podnieca cię ktoś, kogo uznajesz za gorszego od siebie. Tam na tarasie, zanim wyjawilem swoją tożsamość, nie miałaś żadnych uprzedzeń, sądząc widocznie, że jestem kimś bardziej... dystyngowanym.

Emocje grające na jej twarzy stanowiły fascynujący widok. Szok. Gniew. Uraza. A potem wściekłość.

- Bawił się pan ze mną jak kot z myszą. Skoro tak nisko mnie pan ocenia, to dlaczego chce pan spędzić ze mną weekend?

Chciała odejść, ale powstrzymał ją, kładąc rękę na jej ramieniu. Miała jedwabście gładką ciepłą skórę, pod dłonią wyczu-

wał kruchość jej szczupłego ramienia. Poczł się prostakiem, niezastłgłjącym na to, by jej dotykać. Ale nie zwolnił uścisku. Odwróciła się, jej oczy lśniły.

- Puść mnie i niech cię diabli. A tak na marginesie, wcale mnie nie podniecasz, ani trochę.

Opamiętał się trochę, widząc jej wzburzenie.

- To co mówiłem, nie miało być osobistym atakiem. Tak została wychowana. Chciałem tylko podkreślić, że ostatnią rzeczą, jaką można o tobie pomyśleć, to że jesteś luksusową prostytutką. Ale nie mogę znieść kłamstwa.

- Jakiego kłamstwa? - zaniepokoiła się.

- Tego. - Przyciągnął ją gwałtownie do siebie i nakrył jej usta swoimi. Wszystko, co wcześniej między nimi zaszło, uległo zapomnieniu, kiedy świat zapłonął białym płomieniem. Ben czuł tylko dotyk jej ponętnych ust i jej ciała dopasowującego się do jego ciała, jak gdyby było dla niego stworzone. Przyciągnął ją bliżej i zanim mogła się powstrzymać, zaczęła odpowiadać na jego pocałunki. Rozchyliła wargi, a kiedy jego język dotknął jej języka, była zgubiona. Uchwyciła się czegoś kurczowo, by ustać na nogach, i to były jego ramiona przypominające jej o obłędnej sile jego ciała. Jej były narzeczony nigdy nie wzbudził w niej tej... pasji ani desperacji.

Ten pocałunek był brutalny i delikatny jednocześnie, niezwykle namiętny i czuły. Dopiero, kiedy oderwał usta od jej warg, szarpnęła się gwałtownie i dała chwiejny krok do tyłu, gapiąc się na niego w osłupieniu. Usta miała spuchnięte i suknię w nieładzie. Obciągnęła ją gorączkowo. Misternie upięte włosy zmierzwiły się, a jej czarna maska leżała na ziemi nieopodal.

- Nie wiem, co to było... - odezwała się słabym głosem.

- A ja wiem. To był dowód na to, że naprawdę cię podniecam. Oczywisty niestety także dla reszty świata.

Zamarła.

- Co to znaczy?

Carter zerknął do tyłu na coś, czego nie mogła zobaczyć.

- Myślę, że śledzą nas paparazzi.

Zrobiło jej się zimno.

- To wszystko z pańskiej winy. Gdyby mnie pan nie nagabywał

i nie podbił tak idiotycznie licytacji, nie miałoby to miejsca.

Miał czelność wzruszyć ramieniem. Uniósł koniuszek ust w seksownym uśmiešku.

- Skarbie, udowodniłem tylko, że między nami istnieje energia zdolna zasilić małe państwo, więc to było nieuniknione.

- Nie jestem pańskim skarbem i mam tego dość. Wychodzę.

Tym razem nie usiłował jej powstrzymać, powiedział tylko beznamiętnie:

- Na twoim miejscu bym tego nie robił.

Z największą niechęcią odwróciła się i spytała nonszalancko:

- A niby dlaczego?

- Zgodziłaś się przyjąć warunki aukcji i wcale nie żartuję, mówiąc, że wycofam swoją dotację, jeśli ty nie wypełnisz swojej części zobowiązań. A wtedy paparazzi bezlitośnie ruszą za tobą w pogoń. - Podszedł bliżej. - Wiem, że zostajesz tu do przyszłego tygodnia i nie masz niczego w planach, może poza zakupami. Nie masz pretekstu, żaby odmówić wyjazdu ze mną.

Miała ochotę tupnąć. Znowu osądził ją pochopnie. Zakupy! Na pewno uśmiełaby się do łez, wiedząc, że tak naprawdę planowała wybrać się na cykl wykładów na Uniwersytecie Nowojorskim. Pod jego charyzmą kryło się coś bezlitosnego i nagle poczuła się całkiem bezradna. Nie miała wątpliwości, że jeśli odejdzie, on wycofa swój milion. Ale jeśli musiała ścierpieć jego apodyktyczną i pyszałkową arogancję przez weekend dla wyższego dobra, to trudno. Po prostu nie będzie już taka uległa. I już z pewnością więcej go nie pocałuje.

Unosząc brodę, odezwała się najchłodniej, jak tylko mogła:

- Wydaje się, że nie zostawia mi pan w tej sprawie wyboru. Kiedy więc ruszamy i dokąd?

Z triumfalnym błyskiem w oczach chwycił ją za rękę.

- Jeśli nie teraz, to kiedy? Pojedziemy najpierw do twojego hotelu, żebyś zabrała najpotrzebniejsze rzeczy i paszport.

Zatrzymała się gwałtownie. Świadoma obecności wokoło ludzi syknęła:

- Paszport? Dokąd, u licha, mnie pan zabiera?

- To by zniszczyło całą frajdę, nie sądzisz? Nie obawiaj się, Lio, ze mną będziesz całkowicie bezpieczna.

Zadrzała. Nigdy nie czuła się mniej bezpieczna. To nie miało nic wspólnego z fizycznym bezpieczeństwem. On stanowił zagrożenie dla jej zmysłów, wobec którego była bezbronna.

- Nic się nie wydarzy w ten weekend, panie Carter. Nieważne, w co pan wierzy. Ten pocałunek był pomyłką.

Uśmiechnął się drapieżnie.

- Nigdy nie musiałem zmuszać kobiety, żeby szła ze mną do łóżka, i nie zamierzam robić tego teraz. Cokolwiek się wydarzy, będzie za twoją zgodą, zapewniam.

Potem, zanim zdążyła się zorientować, co się dzieje, podał jej szal i znaleźli się przed wejściem, a Carter otwierał przed nią drzwi do lśniącego sportowego samochodu. Minęła go sztywno i wsiadła z największą godnością, na jaką ją było stać. Kiedy obszedł samochód z gibkim zwierzęcym wdziękiem i wśliznął się na siedzenie obok, przynosząc ze sobą ten swój fascynujący piżmowy zapach, usztywniła się jeszcze bardziej. Czuła na sobie jego spojrzenie, ale patrzyła prosto przed siebie, przysięgając sobie, że mu się oprze. Jakakolwiek prowadził grę, nie chciała brać w niej udziału.

Lodowatą ciszę przeplatały monosylabowe odpowiedzi kobiety, skulonej w fotelu po drugiej stronie prywatnego samolotu Bena, ze wzrokiem skierowanym w okno i szczelnie otulonej szalem, z ciemnymi włosami opadającymi na ramiona... Irytacja i coś niedającego się bliżej zdefiniować dręczyło Bena na myśl, że nie byłoby jej tutaj, gdyby nie zapłacił miliona dolarów. Ale odsunął te myśli na bok. Była i tylko to się liczyło.

Godzinę wcześniej wystartowali z prywatnego lotniska w pobliżu Newark, po tym, jak pojechali do jej apartamentu, żeby zabrała paszport i najpotrzebniejsze rzeczy. Właśnie miała wejść do łazienki, żeby się przebrać, kiedy powiedział ostro:

- Nie mamy na to czasu.

Ciskając wzrokiem lodowate pioruny, wyszła sztywno z apartamentu, pozostawiając mu do niesienia bagaż. Odgrywała rolę księżniczki na całego, za co mógł winić tylko siebie, skoro tak ją nazwał. Musiał przyznać, że stanowiła intrygujący zbiór przeciwności. Wtedy na maskaradzie wykorzystał to, że sam rozpo-

znał ją od pierwszej chwili. Zamierzał powiedzieć jej, kim jest, ale była tak zaskakująco miła i zalotna. Podniecająca. Tak bardzo inna niż podczas ich pierwszego spotkania, że nie chciał psuć nastroju, ujawniając swoją tożsamość. Skrzywił się teraz. Poddawanie się słabości nie było w jego stylu. Miał na celu uwiedzenie jej, a w końcu, w miarę możliwości, małżeństwo z nią.

Chociaż w tym momencie idea domowego szczęścia z tą kobietą wydała się Benowi zbyt naciągana. Czy była warta aż takiego zachodu? Mnóstwo jego dawnych kochanek nie kryło chęci, by zostać panią Carterową... A jednak bardzo nie chciał pozwolić jej odejść. Bo jej pragnął.

W końcu odwrócił od niej wzrok i szarpnięciem rozwiązał sobie muchę. Czuł się głupio, że nie pozwolił jej przebrać się wcześniej. Świadomość, że pod cieniutką tkaniną kryło się to kuszące ciało, nie pomagała ostudzić jego pożądania.

- Nie było żadnych paparazzich, prawda? - Uniósł głowę i ujrzał, jak Lia mruży błękitne oczy.

- O ile pamiętam, powiedziałem „myślę, że jesteśmy śledzeni”.

- Nie wierzę, że dałam się nabrać.

- Nie miałaś wielkiego wyboru. - Wzruszył ramionami i upił łyk kawy.

Zacisnęła ponętne usta, a on miał wielką ochotę ich dotknąć i sprawić, by się rozchyliły.

- Podoba mi się, że nazywają cię Lią - powiedział zamyślony. - To brzmi mniej... chłodno.

Zarumieniła się.

- Jak już powiedziałam, to imię tylko dla znajomych i rodziny.

Ben uśmiechnął się, ubawiony jej zakłopotaniem.

- Jesteśmy czymś więcej niż przyjaciółmi, Lio. Nie znam twoich przyzwyczajień, ale w moim świecie przyjaciele nie całują się tak, jak my wcześniej. Kochankowie... tak, to co innego.

Lia rzuciła wzrokiem za siebie, gdzie w dyskretnej odległości siedziała obsługa i syknęła:

- My nigdy nie zostaniemy kochankami, panie Carter.

Ben zignorował to i oparł się wygodnie w fotelu, wyciągając

nogi.

- Z tyłu jest sypialnia. Powinnaś odpocząć. Czeka nas jeszcze co najmniej siedem godzin w powietrzu.

- Nadal się pan upiera, by nie mówić mi, dokąd lecimy?

Zrobił niewinną minę.

- I zepsuć całą niespodziankę?

- Nie lubię niespodzianek, panie Carter.

- Lio, proszę cię - zamruczał, znakomicie się bawiąc. - Mów mi Ben.

Przez chwilę wyglądała, jak gdyby miała ochotę go uderzyć, a potem odpięła pasy i wstała z fotela.

- Jest pan nieznośny. Wszystko to jest nie do zniesienia. - Sięgnęła po torbę do schowka nad głową. Przy tym ruchu szal, którym była owinięta, osunął się na podłogę. Ben podniósł go i omiół wzrokiem jej kształty, a szczególnie jędrną pupę. Odwróciła się szybko i wyrwała mu szal z rąk. - Idę się przespać i nie życzę sobie, by mi przeszkadzano.

- Ależ proszę, czuj się jak u siebie - uśmiechnął się Ben.

Przeszła energicznie na tył samolotu, a suknia tańczyła wokół jej ciała i długich smukłych nóg. Weszła do sypialni, zatrzasnąwszy za sobą drzwi tak mocno, że Ben się skrzywił. Usłyszał potem wyraźne kliknięcie przekręcanego zamka. Odczuwał dziką pokusę, by pójść, kopniakiem otworzyć drzwi do sypialni i udowodnić Lii, że byli kimś więcej niż przyjaciółmi. Ale przypomniał sobie, że jest przecież kulturalnym człowiekiem.

W kieszeni zawibrował mu telefon. Widząc na ekranie imię dzwoniącego, zmusił się do beztroskiego tonu.

- Trakas. Czyżbyś się już stęsknił za mną i nowymi przyjaciółmi?

- Raczej nie - padła sucha odpowiedź. - W internecie aż hu-czy o twojej szalonej licytacji na aukcji charytatywnej i wypadzie na weekend z angielską księżniczką z towarzystwa. Myślałem, że mamy zadbać o naszą reputację, a nie pogarszać sprawę.

Ben spojrzał na zatrzaśnięte drzwi do sypialni i odparł przez zęby:

- Bez obawy, to część mojego planu. Elizabeth Young umówiła

nas na randkę. Masz do mnie coś konkretnego czy dzwonisz tylko, by poplotkować?

Xander Trakas milczał przez chwilę, a potem spytał:

- I...? Jak ona się miewa?

Ben zmarszczył brwi.

- Kto? Swatka?

Trakas był zniecierpliwiony.

- Oczywiście.

Ben poczuł się niepewnie na myśl o tamtej kobiecie, która ostrzegała go, by nie nagabywał Lii.

- Świetnie. Dlaczego cię to interesuje?

- Bez powodu - padła szybka odpowiedź. - Na razie, Carter. - I Trakas się rozłączył.

Ben odłożył telefon i zerknął nachmurzony na drzwi sypialni. Nie miał pojęcia, co łączyło Xandera Trakasa z dyrektorką agencji Lewiatan, ale jeśli coś w rodzaju tego, w co sam był teraz uwikłany, to życzył mu szczęścia. Na ile poznał Elizabeth Young, Xander bardzo go potrzebował.

- Pozwól, że cię oprowadzę.

Lia spojrzała podejrzliwie na Bena Cartera, bo nie miał prawa wyglądać tak świeżo i fantastycznie po nocy spędzonej w fotelu w samolocie. Przebrał się ze smokingu w ciemne spodnie i czarną koszulkę polo z krótkimi rękawami, eksponującą jego bicepsy. Zbudowany był jeszcze potężniej, niż sądziła.

- Gdzie my właściwie jesteśmy?

Wylądowali jakąś godzinę temu na międzynarodowym lotnisku w Salvadorze w stanie Bahia w Brazylii i świadomość tego, jak daleko zajechali, ścięła ją z nóg. Carter wziął jeepa z otwartym dachem i wiozł ich przez pół godziny poza miasto, wzdłuż wybrzeża. Lia nie chciała tego przyznać, ale urzekł ją widok spienionych fal Atlantyku i ciągnących się kilometrami bielutkich plaż.

- W mojej rezydencji, na północ od Salvadoru.

Wpatrywał się w nią i Lia pożałowała, że nie przebrała się, kiedy miała szansę to zrobić w samolocie. Zirytowana i zmęczona, położyła się na łóżku ubrana. Potem, kiedy obudziło ją puka-

nie i zbyt dobrze znajomy głęboki głos oznajmił, że będą wkrótce lądować, małostkowo uznała, że nie poprawi mu w ten sposób samopoczucia po tym, co jej zrobił, i pojawiła się nadal ubrana w suknię. Ale teraz czuła się głupio. Dlatego powiedziała bezczelnie:

- Niby co mnie powstrzyma przed zabranieniem jeepa i powrotem do Salvadoru, by złapać najbliższy samolot do domu?

Odpowiedział spokojnie:

- Cóż, musiałbym zgłosić kradzież, a tutejsza policja działa bardzo sprawnie.

Ogarnęło ją to samo poczucie bezradności, co w Nowym Jorku. Musiała się pogodzić z rzeczywistością - spędzi tu weekend.

Jakby czytając w jej myślach, Ben gestem zaprosił ją do środka. Kapitularcja nie była łatwa, ale po kilku sekundach wewnętrznej walki zsunęła w końcu buty, mocno już dające jej się we znaki. Wyprostowała się, trzymając je w rękach, i powiedziała cierpko:

- Skoro, jak się wydaje, nie mam wyboru, to prowadź.

Weszła za nim do środka, próbując odwracać wzrok od jego szerokich pleców, szczupłych bioder i sprężystych pośladków. Niemal z ulgą skupiła się na meblach i z pewnym zdziwieniem ujrzała błyszczące drewniane podłogi i otwarte białe okiennice, pozwalające ciepłej bryzie swobodnie cyrkulować. Pokoje przechodziły jeden w drugi, przestronne i otwarte. Urządzone elegancko, choć w swobodnym stylu, bez ostentacji.

Dostrzegła cenne dzieła sztuki rozrzucone w pokojach i na ścianach. Wszystko uzupełniało się nawzajem. Wystrój bardzo odpowiadał jej gustom, a tego się nie spodziewała. Przestronny gabinet urządzone był bardzo komfortowo, z niskimi stolikami kawowymi i sprzętem audiowizualnym. Olbrzymie albumy poświęcone sztuce i fotografii nosiły ślady częstego używania, a jedna ze ścian obwieszona była w całości półkami pełnymi książek. Ręce ją świerzbiły, żeby przejrzeć ich zawartość.

- Masz bardzo utalentowanego dekoratora wewnątrz - zauważyła.

- Dziękuję. - Na ustach Cartera błąkał się uśmiezek, więc spytała z niedowierzaniem: - Nie... To twój własny projekt?

- Niesamowite, ile dobrego smaku dają pieniądze - powiedział drwiąco. Wcześniej zarzuciła mu prostactwo, ale teraz to ona czuła się nieswojo.

- Pięknie tu.

Szerokie przeszklone drzwi prowadziły wprost na plażę i stopy Lii zagłębiły się w rozkosznie ciepłym, miękkim piasku. Fale Atlantyku delikatnie i rytmicznie uderzały o brzeg. Już od dawna nie czuła się tak po prostu... zrelaksowana.

- Uważaj - powiedział przeciągle - bo pomyślę, że ci się tu podoba.

Natychmiast spięła się na powrót i gapiąc się na jego plecy, podążyła za nim z powrotem w głąb domu. Przez środkowy dziedziniec z basenem ocienionym palmami dotarli do ogromnej kuchni, całej w lśniącej bieli z błyszczącymi urządzeniami i marmurowymi blatami.

- To królestwo Esmé, mojej gospodyni. Opiekuje się domem pod moją nieobecność i otwiera go na mój przyjazd. Zjawi się tu później, żeby przygotować kolację.

Przez głowę Lii przemknęła wizja romantycznej kolacji przy świecach na plaży, ale ją zignorowała. W ciszy poszła za nim na piętro. Minęli kilka pokoi po obu stronach szerokiego korytarza, wyścielonego kosztownym dywanem. W końcu Ben otworzył jakieś drzwi.

- To jest twój pokój.

Spojrzała na niego podejrzliwie, a on zrobił niewinną minę, której nie ufała ani przez sekundę.

- Co? Sądziłaś, że nie będę wystarczająco cywilizowany, by zapewnić ci własny pokój? Już ci mówiłem, że cokolwiek się zdarzy, będzie za zgodą nas obojga. - Wśliznęła się do środka, zanim mógł dostrzec jej konsternację. Nie była przyzwyczajona do mężczyzn tak... bezpośrednich. Zresztą sama nie była pewna, czego się spodziewała. Jedno mogła przyznać, nie czuła się zagrożona. Obawiała się tylko własnych emocji.

Upuściła buty na podłogę i podeszła do ogromnych drzwi prowadzących na balkon z widokiem na plażę i ocean. Jakiś mieniący się błyskiem egzotycznych barw ptak właśnie przelatywał. Ben nie musiał się wcale wysilać, to miejsce samo w sobie mo-

gło uwieść kobietę.

Kiedy się odwróciła, wskazał ręką.

- Tam jest łazienka, a za nią garderoba.

Zaciekawiona zajrzała do ogromnej łazienki i westchnęła z zachwytem. Była piękna, z oddzielnym prysznicem i olbrzymią, wolno stojącą wanną. Potem przez kolejne drzwi weszła do garderoby i oniemiała na widok ilości wiszących tam ubrań. Były nowe, z kosztownych tkanin zwisały designerskie metki.

Carter oparł się nonszalancko o futrynę z lekkim uśmiechem wyższości mężczyzny obserwującego kobietę, rozanieloną na widok szafy pełnej pięknych ubrań. Spojrzała na niego, mrużąc oczy.

- A więc w taki sposób zwykle uwodzisz kobiety, które tu ze sobą przywozisz? Jednak żeby wzbudzić moje zainteresowanie, potrzeba czegoś więcej niż szafy pełnej drogich ciuchów. Nie jestem aż tak płytka ani zepsuta.

- Prawdę mówiąc, nigdy wcześniej nie przywiozłem tu kobiet - powiedział. - Ale użyczam domu przyjaciółom i znajomym biznesowym. Szafy pełne są ubrań, bo najbliższe sklepy znajdują się dopiero w Salvadorze. Zatrudniam stylistkę, która zagląda tu po ich wyjeździe i usuwa ubrania, które były używane, przekazując je na cele charytatywne.

Zawstydziała się, że tak pochopnie go osądziła. Czy na pewno nie przywiózł tu nigdy przedtem kobiety? Ale przecież ktoś taki jak on nie kłamałby w takiej sprawie. Bo niby po co? Świadomość, że musiało to być dla niego swoiste sanktuarium, spieszyła ją.

- Cóż - powiedziała sztywno - to bardzo wspaniałomyślne, ale przywiozłam własne ubrania. - Dopiero ponieważ zorientowała się, że jej jesienno-zimowe rzeczy nie miały zastosowania w tym klimacie.

Ben wyprostował się i po raz pierwszy od czasu, kiedy się poznali, Lia wyczuła w nim chłód. Spojrzył na zegarek.

- To mój pierwszy przyjazd tutaj w tym roku i mam kilka pilnych napraw do wykonania. Rozgość się. W kuchni znajdziesz mnóstwo jedzenia, jeśli zechcesz coś przekąsić. I wiesz, jak dojść do plaży. To teren prywatny, nie będziesz przez nikogo

niepokojona.

Odwrócił się i wyszedł. Przez moment stała bez ruchu, patrząc, jak wychodzi. W tym pięknym otoczeniu złość, jaką czuła z powodu tego porwania, już zbladła. Ale musiała zachować ostrożność, by nie ulec tak łatwo zauroczeniu, któremu nie będzie potrafiła się oprzeć. Podbiegła boso do drzwi i wypaliła:

- Jeśli to sposób, by dotrzeć do mojego ojca, to równie dobrze może pan już teraz odesłać mnie do Nowego Jorku. Nie pozwolę, by ktokolwiek go skrzywdził, uwodząc mnie.

Schodzący po schodach Ben zatrzymał się gwałtownie. Żadna dotąd kobieta nie stawiała mu tak skutecznie oporu. I nigdy żadna tak nisko go nie oceniała. Powoli odwrócił się, zaciskając zęby, by jej oznajmić, że zamawia dla niej samochód do Salvadora. A wtedy dostrzegł na jej twarzy wahanie. Malował się na niej bunt, ale także coś, czego wcześniej nie zauważył, jakiś nieufny brak pewności. Jakaś bezradność. Pomyślał o jej przerażeniu, kiedy przyjaciółka poprosiła ją, by zastąpiła modelkę na aukcji. Bosa, ubrana nadal w tę dekadenczką suknię, teraz już bardzo wymiętą, z rozpuszczonymi włosami rozwichrzonymi wokół ramion po długiej podróży, była najpiękniejszą kobietą, jaką widział w życiu. Pragnął jej.

Zrozumiał nagle, że za nic nie pozwoli jej odejść.

- Nie zamierzam obrażać twojej inteligencji, zaprzeczając, że jestem zainteresowany firmą twojego ojca... ale w tej chwili to mnie nie obchodzi.

Ze zdziwieniem stwierdził, że fatycznie tak było. W tej chwili skupiał się tylko na jednym. Na Lii. I skłonieniu jej do uległości.

Przełknęła ślinę i w końcu odrzekła ostro:

- Nic pan ze mną nie wskóra, panie Carter, więc najlepiej aż do powrotu trzymajmy się z dala od siebie.

Niemal jej współczuł, odpowiadając:

- Nie powinnaś rzucać mi takiego wyzwania, Lio...

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nie powinnaś rzucać mi takiego wyzwania? Te słowa Benjamina Cartera nadal dźwięczały jej w głowie. Do diabła z nim.

Tego ranka przez dwie godziny krążyła po urządzonym z przepechem pokoju, aż w końcu przejrzała garderobę. Zdeteminowana, żeby wykorzystać tę sytuację możliwie najlepiej, wybrała sobie skromny kostium kąpielowy i jakiś ubiór plażowy. W kuchni zjadła lekki lunch, a potem poszła na plażę.

Wokoło nie było żadnych śladów Benjamina Cartera, ku jej wielkiej uldze, ale od strony frontu dobiegały jakieś hałasy. Z dala od domu, nie chcąc spotykać się z nim tak ubrana, znalazła na plaży idylliczny zakątek w cieniu palmy.

Przez kilka godzin wmawiała sobie, że jest tu na wakacjach, na które wybrała się z własnej woli. Drzemała, pływała i czytała książkę ściągniętą z półki w gabinecie. Wróciła do rezydencji, kiedy zapadał już zmierzch, i nieomal potknęła się o własne nogi na widok półnagiego Bena Cartera siedzącego na pokrytym dachówką dachu. Jej wzrok natychmiast pobiegł w stronę gładkich mięśni jego szerokiego torsu, poruszających się rytmicznie pod skórą, kiedy przybijał coś młotkiem. Ledwie zauważyła, że śmiał się, żartując z innym mężczyzną, którego hebanowa skóra również lśniła od potu. Carter miał na sobie tylko spłowiałe szorty surfingowe i znoszone trampki.

Podskoczyła, kiedy melodyjny, figlarny głos zabrzmiał koło jej ucha.

- Nienajgorszy widok jak na koniec upalnego dnia, prawda? - Ujrzała zadziwiająco ładną młodą kobietę o karnacji w kolorze ciepłej czekolady, oczach w tym samym odcieniu i szerokim uśmiechu. Z jaskrawą chustką na głowie doskonale wpasowywała się w egzotyczne tło. Kobieta przedstawiła się jako Esmé, żona tamtego drugiego mężczyzny. - Przyszłam, żeby panią odzyskać. Ben przeprasza, że był zajęty całe popołudnie, ale nie

może się doczekać, żeby zjeść z panią kolację o ósmej.

Lia już miała zaprotestować, ale jej samej wydało się to śmieszne. Ta miła kobieta nie zasługiwała na to, by robić jej przykrość tylko dlatego, że gospodarz był ostatnią osobą, z którą Lia miała ochotę jeść kolację.

W każdym razie uciekła przed widokiem Benjamina Cartera w wersji mniej ucywilizowanej, zanim ten mógł się obrócić i zauważyć jej reakcję, tak deprymującą dla niej na wielu poziomach. Odkąd to kręcili ją mężczyźni pracujący fizycznie?

Wzięła prysznic i ubierając się do kolacji, zamiast dzinsów i podkoszulki wybrała prostą, czarną sukienkę z jedwabiu z dekoltem w łódkę, lekko marszczoną w talii. Sięgała jej za kolana. Jak u zakonnicy, idealnie. Umalowała się dyskretnie, włosy związała w koński ogon, stopy wsunęła w szpilki i zeszła po schodach, uświadamiając sobie, że jest punktualna. Burczała do siebie, że jest patologicznie niezdolna do spóźniania się, nawet jeśli tego chciała, kiedy w holu poniżej pojawił się Carter z butelką wina w jednej ręce i kieliszkiem w drugiej.

Z robotnika przeobraził się z powrotem w układnego, eleganckiego biznesmena w ciemnografitowych spodniach i lekkiej, szarej koszuli. Zwykle niesforne włosy miał wciąż wilgotne i przez głowę Lii przemknęła nieprzyzwoita wizja jego pod prysznicem, z wodą spływającą po imponujących mięśniach.

- Esmé powiedziała mi, że cię znalazła. Jeszcze raz przepraszam, że pozostawiłem cię samą sobie, ale Joao, jej mąż, zaofertował mi pomoc i udało nam się wspólnie wykonać wszystkie naprawy za jednym zamachem.

Zachowywał się tak swobodnie, że poczuła zakłopotanie.

- Nie oczekiwałam, że będziesz mnie zabawiał. Spędziłam przyjemne popołudnie na plaży.

- Nie nudziłaś się? - spytał z lekkim niedowierzaniem.

Potrząsnęła głową. To było o wiele przyjemniejsze popołudnie, niż przyznawała sama przed sobą. A jeśli nawet czuła się odrobinę samotna, to nie z powodu braku towarzystwa tego człowieka, zapewniła samą siebie.

- Pływałam sobie i czytałam. Nie miałam okazji robić tego od dawna.

Nie odpowiedział, ale pewnie uznał, że miała na myśli swoje ostatnie luksusowe wakacje. Nie wyprowadziła go z błędu, nie obchodziło jej, co sobie o niej myśli... Chciała tylko przetrwać ten weekend dla dobra darowizny, jakiej dokonał.

Poszła za nim do salonu, oświetlonego nastrojowo migocącymi świecami. Powietrze nadal było nagrzane po upalnym dniu, stanowiąc cudowną odmianę po przejmującym jesiennym wietrze w Nowym Jorku. Carter odwrócił się od barku, przy którym otwierał butelkę.

- Napijesz się? To argentyńskie wino z winnicy mojego przyjaciela.

Kiwnęła głową i wzięła od niego kieliszek wypełniony schłodzonym białym winem. On sam podniósł szklanę z czymś, co wyglądało na wodę. Przypomniała sobie, że na ich niby-randce też nie zamówił alkoholu. Nie pił także podczas charytatywnej aukcji.

- Pan nie pije? - usłyszała swój głos, zanim mogła powstrzymać te słowa.

Potrząsnął głową, wskazując jej miejsce na sofie. Sam usiadł na innej, po drugiej stronie stolika kawowego, ramię oparł na oparciu, bez trudu wypełniając przestrzeń swoją okazałą postacią. Lia odwróciła wzrok i pociągnęła łyk wina. Spłynęło jej do gardła niczym chłodny jedwab i natychmiast zaszumiało jej w głowie.

Odezwał się dopiero po chwili.

- Nie piję. W ogóle.

Wzruszyła ramionami, jak gdyby nie wzbudził jej ciekawości.

- Sama dużo nie piję... zwykle ograniczam się do dwóch kieliszków.

W drzwiach pojawiła się Esmé, zapraszając ich na kolację. Ben wstał i przepuścił Lię przodem. Przeszli do jadalni obok. Tam także światło było przytłumione i migotały świece. Stolik był nakryty białym obrusem i srebrami. Wyglądał bardzo romantycznie.

- Naprawdę nie powinien pan zadawać sobie tyle trudu.

Odsunął dla niej krzesło, więc usiadła, świadoma, że stał tuż za nią. Okrążając stół, by zająć swoje miejsce, powiedział

przeciągle:

- Zjedzenie z tobą kolacji wymagało ośmiogodzinnego przelotu i dwugodzinnej różnicy czasu, więc malutki wysiłek jest chyba tego wart.

Spojrzała na niego i musiała przyznać, że większość mężczyzn nie fatygowalaby się tak dalece. Człowiek, z którym spotkała się przelotnie, tuż zanim poznała swego narzeczonego, zachował się paskudnie, kiedy nie okazała najmniejszej ochoty, by wskoczyć z nim do łóżka na pierwszej randce. To była jedna z przyczyn, dla których spodobał jej się Simon, bo szanował wytyczone przez nią granice. Z czasem przekonała się, że szanował je, bo miał na oku szansę zaczepienia się w zespole prawników reprezentujących firmę jej ojca, a własne potrzeby spełniał gdzie indziej.

Ale Carter nadal tu był, wchodząc szturmem w jej życie i rozpędzając na boki cynizm, jakim się szczelnie otoczyła po rozejściu rodziców i katastrofie, jaką okazało się jej narzeczeństwo. Wiedziała, że już teraz załazł jej za skórę wystarczająco mocno, by spowodować wstrząs, którego naprawdę nie chciała przyjmować do wiadomości. Dla niego to był po prostu tylko podbój - osobisty i zawodowy. Co do tego wątpliwości nie miała.

Pochyliła się lekko.

- Proszę posłuchać, panie Carter... Wiem, że chodzi panu o mojego ojca...

Ale musiała przerwać, bo Esmé właśnie wносиła przystawki, apetycznie przygotowane ravioli ze śmietaną i sosem grzybowym. Posłała obojgu pełne zainteresowania spojrzenie, co nie umknęło uwadze Lii. Kiedy znowu zostali sami, odrzekł:

- Po pierwsze, mam na imię Ben. Po drugie to, że interesuję się zawodowo twoim ojcem, jest ogólnie wiadome. Zresztą nie tylko ja. Twój ojciec nigdy nie miał problemu z ochroną swoich interesów, więc, o ile nic się nie zmieniło, jest absolutnie bezpieczny, bez względu na to, co wydarzy się między nami. A po trzecie... kiedy ujrzałem twoją fotografię w portfolio tamtej agentki biura matrymonialnego, zapragnąłem cię. Zanim dowiedziałem się, kim jesteś.

Te ostateczne słowa mocno zapadły jej w serce. Tak jak wtedy,

kiedy stała na tamtym podium i ktoś zapragnął jej na tyle mocno, by wylicytować za nią małą fortunę... nieuchwytny nieznajomy, którego, jak sądziła, zapragnęła. A który okazał się nim. Mężczyzną siedzącym teraz na przeciw niej, z błyszczącymi niebieskimi oczami. Przystojnym jak diabli.

Wzięła głęboki wdech.

- Świetnie. A więc, Ben. - Serce jej drgnęło, kiedy wypowiedziała jego imię. To było dziwnie poufałe.

Wyciągnął do niej rękę przez stół.

- Rozejm?

Niechętnie wyciągnęła do niego swoją.

- Rozejm.

Jego dłoń zamknęła się na jej dłoni i nagle przed oczami ujrzała go na tamtym dachu, ze skórą lśniąca od potu i prężącymi się z wysiłku mięśniami. Próbowwała oswobodzić rękę, ale jego palce zaciskały się na niej, a płomień w jego oczach zahipnotyzował ją.

- Cieszę się, że tu jesteś, Lio. Nie mogę się doczekać, kiedy poznam cię bliżej.

Nie łudził się jednak, że ta jej ustępliwość miała coś wspólnego z nim jako takim. Och, pragnęła go, to było oczywiste. Ale nadal była zdeterminowana, by zwalczyć w sobie to pragnienie. Po deklaracji rozejmu powstrzymywał się siłą, by nie przyciągnąć jej do siebie i nie pocałować. Jedli w miłej atmosferze, gawędząc. O zupełnie nieistotnych sprawach.

Po kolacji przeszli do salonu na kawę. Lia spacerowała po pokoju, oglądając zdjęcia i książki z filiżankę w dłoni. Bez tego niebieskiego spojrzenia oceniającego każdy jego ruch mógł się napatrzeć do syta. Miała na sobie uroczą sukienkę, która jednak całkowicie zasłaniała jej ciało. Domyślił się, że wybrała ją z tego właśnie powodu. Dziwiła go jej niechęć do poddania się istniejącej między nimi chemii. Nie sądził, żeby była udawana, bo nie należała do kobiet, które odgrywają trudno dostępne.

- Ciekawi mnie - spytał ostrożnie - w świetle tego, że zostałam klientką agencji Lewiatan, dlaczego wyszłaś z naszej pierwszej randki?

Wolno odwróciła się, odkładając z powrotem na półkę książkę, której się przyglądała. Dopiero po długiej chwili odpowiedziała sztywno:

- Nie chciałam zostawać ich klientką. Ktoś o tym zdecydował w moim imieniu.

Ciekawość Bena wzrosła.

- Kto taki?

Westchnęła, siadając. Każdy jej gest pomimo napięcia emanował naturalną elegancją. Odłożyła filiżankę i spojrzała na Bena.

- To był pomysł mojego ojca. Jest staromodny i zdeterminowany, żebym ułożyła sobie życie. - Zamilkła nagle, jak gdyby powiedziała za dużo. Widząc jej lekko udręczoną minę i przypominając sobie, jak bardzo była spięta podczas aukcji, pomyślał, że... może była nieśmiała.

Pochylił się w jej stronę.

- Wiem, że nie jesteś lesbijką. Nie po tamtym pocałunku... Więc o co chodzi, Lio? Dlaczego nie chcesz chodzić na randki?

Wstała znowu, wzburzona.

- Czy tak trudno uwierzyć, że kobieta może nie chcieć, aby jej życie obracało się wokół mężczyzny? Że może mieć własne ambicje? Na wypadek, gdybyś o tym nie słyszał, emancypacja dokonała się z powodzeniem dawno temu.

Zaintrygowany odparł przeciągle:

- Nie jestem mizoginem, Lio, a można by powiedzieć, że nadal jest o co walczyć. Ale ludzie, a szczególnie kobiety, są wielozadaniowi. Mogą się umawiać i pracować niezależnie.

- Wiem o tym. - Poczzerwieniała i objęła się ramionami. - Ja tylko... Mój ojciec nie powinien był tak robić. Nie po tym... - Urwała nagle.

- Po czym? - Ben się wyprostował.

Zacisnęła zęby.

- Byłam krótko zaręczona... Rok temu.

- Z kim? - spytał ostro.

Usiadła i wzięła do ręki filiżankę.

- Poznałam go na przyjęciu wydawanym przez ojca. Był adwokatem w firmie współpracującej z jego radcami prawnymi.

Ben poczuł przyływ tej samej zaborczości, jakiej doświadczył

wtedy, podczas aukcji.

- Prawie cię nie znam, ale wiem, że jesteś kimś więcej niż tylko materiałem na żonę dla biznesmena. Z nim udusiłabyś się na śmierć. - Zaskoczył tym sam siebie. A jaki rodzaj małżeństwa z rozsądku sam miał na myśli?

Zauważył, że znieruchomiła.

- To śmiała teza, kiedy prawie się nie znamy...

- Jestem ci winien przeprosiny - skrzywił się. - Myliłem się co do ciebie. Nie jesteś typem księżniczki. Inaczej zaczęłabyś krzyzczyć, błagając o powrót do cywilizacji już dawno, a ty świetnie się czułaś, zajmując się sama sobą. Esmé powiedziała mi, że sama sobie zrobiłaś lunch i potem posprzątałaś po sobie.

- Zrobienie sobie lunchu nie jest powodem do gratulacji - odparła z nutą ironii. - Wychowywałam się w bardziej luksusowych warunkach niż większość ludzi.

- Ale nie jesteś zepsuta. Daleko ci do tego.

Przez długą chwilę milczała, zagryzając wargi. W końcu odezwała się:

- Nie, nie tak, jak mógłbyś sobie wyobrazić na pierwszy rzut oka. Po rozwodzie rodziców byłam tylko z ojcem. W bardzo młodym wieku stałam się jego gospodynią... Ale nie czułam się nigdy dobrze z luksusowymi prezentami czy podobnymi sprawami. Kiedy on był szczęśliwy, ja też byłam.

Ben już wcześniej wiedział, że Louis Ford był rozwiedziony, ale nie znał szczegółów.

- Gdzie jest teraz twoja matka? - zapytał.

Lia wzruszyła ramionami, z twarzą bez wyrazu.

- Jest pewnie w jakimś *château* w Szwajcarii z mężem numer cztery. Trudno przyprzeć Estellę do muru. Nie widuję jej zbyt często. Kiedy byłam nastolatką, zapraszała mnie czasem do jakiegoś luksusowego kurortu, w którym akurat rezydowała, zwykle pomiędzy kolejnymi mężami.

Ben poczuł falę irytacji na myśl o tej nieznannej mu kobiecie, ale odrzekł lekko:

- Musi być czarująca.

Lia zamrugła i odstawiła filiżankę, wstając gwałtownie. Nawet nie zauważył, kiedy przeszli na osobiste tematy, a zwykle

robił wszystko, co w jego mocy, by z kobietami tego unikać.

- To był długi dzień. Chyba już pójdę do łóżka - skwitowała nagle Lia.

- Oczywiście. - Wodził za nią wzrokiem, kiedy odwróciła się, żeby wyjść z pokoju, a wtedy w ułamku sekundy podjął decyzję. - Pomyślałem, że jutro mógłby oprowadzić cię po Salvadorze. To piękne miasto, a chcę ci wynagrodzić to, że dzisiaj zostawiłem cię samą.

Zatrzymała się, cała spięta. Przez chwilę spodziewał się usłyszeć od niej, że ma tego dość i chce wracać do domu. Nie mógłby jej tego odmówić. Nawet jeśli bardzo tego nie chciał. Ale ona odwróciła się szybko i powiedziała:

- Okej, świetnie.

Zaraz potem zniknęła mu z oczu, a Ben westchnął głęboko z ulgą.

Jak tylko znalazła się w swoim pokoju, zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie, oddychając głęboko. Co, do licha, właśnie zaszło tam na dole? Niewiele brakowało, a zwierzałyby mu się jak jakiemuś godnemu zaufania powiernikowi. A przecież nigdy nikomu nie mówiła o swojej matce. Zwykle unikała rozmów na ten temat, bo stara rana po odrzuceniu nadal bolała. Dlaczego wyznała mu, że nie interesowały jej randki? Po co mówiła mu o swoich nieudanych zaręczynach?

Jęknęła i zrzuciła buty, podchodząc do drzwi prowadzących na balkon. Powietrze, nadal rozkosznie ciepłe i balsamiczne, pieściło jej nagą skórę. Z atramentowych ciemności dochodził kojący szum fal rozbijających się o brzeg.

Pomyślała o tym, jak ją przeprosił za nazwanie jej księżniczką. I o jego słowach, że była kimś więcej niż tylko materiałem na idealną żonę dla biznesmena. Ale czy z tego powodu omal nie ułożyła sobie życia? Po kolejnym udarze tak bardzo obawiała się o zdrowie ojca, że na jego prośbę zgodziła się dać Simonowi Barnesowi, miłemu, choć nudnemu prawnikowi szansę. Simon zapewnił ją, że nie stanie na drodze jej ambicjom. Sądziła, że uszczęśliwi tym ojca i że to małżeństwo w niczym jej nie będzie ograniczało. W końcu nigdy nie marzyła o związku typu

„żyli długo i szczęśliwie”, nie po tym, jak była świadkiem katastrofy, jaką było małżeństwo jej rodziców, łamiące serce ojcu. Poprzysięgła sobie, że nigdy nie odda nikomu takiej władzy nad sobą.

A wtedy poczuła ucisk w piersi, przypominając sobie jakże żywy obraz głowy narzeczonego pomiędzy nogami jego sekretarki, i fala upokorzenia zalała ją znowu. To nie jego niewierność ją bolała, w końcu nie byli w sobie zakochani, tylko świadomość, że ona sama nie była w stanie wzbudzić w nim takiej namiętności.

Zacisnęła dłonie na poręczy balkonu. Prawda była taka, że chociaż bardzo chciała odrzucić Benjamina Cartera bez wysiłku... to jednak nie mogła. Można mu było zarzucić wszystko, tylko nie prostactwo, chociaż właśnie to obcesowo mu zarzuciła. Ten piękny dom nie był domem prostaka, a cham nie wspinałby się na dach, żeby przybijać dachówki z mężem swojej gospodyni. A całkowicie arogancki mężczyzna, niekryjący, że chce wziąć ją do łóżka, nie powstrzymywałby się tak bardzo, żeby pozwolić jej pójść do łóżka samej.

Nie myślała się co do żaru w jego oczach... To dlatego praktycznie uciekła z pokoju. Ten mężczyzna był wytrawnym playboyem. Przypominał wielkiego kota, bawiącego się bezradną myszką, pozwalając jej wierzyć, że może uciec, ale gdyby tylko opuścił łapę, gra byłaby skończona.

Była tu zaledwie od dwudziestu czterech godzin, a on już bawił się nią, jak chciał. Miała ochotę zejść na dół i zażądać, żeby odwiózł ją natychmiast do domu. Ale nie chciała dać mu tej satysfakcji. W końcu jeden dzień więcej w jego towarzystwie... Mogłaby trzymać buzię na kłódkę, a jego na dystans. Musiała.

Lia siedziała koło Bena w odkrytym jeepie, kiedy jechali główną drogą z jego rezydencji do Salvadoru. Ciemne włosy związała z tyłu w wygodny kucyk, a ciepły wiatr sprawił, że wyglądały niczym motki jedwabnej przędzy z tyłu jej głowy. On z trudem utrzymywał pozory opanowania. Jak gdyby nigdy wcześniej nie widział kobiety ubranej w podkoszulek bez rękawów i szorty. Ale ona w tym stroju wyglądała tak ponętnie, że miał ochotę za-

trzymać się i pożerać wzrokiem jej smukłe, blade nogi.

Przy nim wydawała się eteryczna i delikatna. Chociaż wiedział, że nie powinien tak o niej myśleć. Kiedy wcześniej pojawiła się w kuchni, miała na twarzy wyraz determinacji i trąkotała byle co, dając mu do zrozumienia, że koniec z poufałością z wczorajszego wieczoru i im prędzej ten weekend się skończy, tym lepiej. Traktowała go jak wynajętego przewodnika, uśmiechając się promiennie i prowadząc irytująco banalną rozmowę. Więc chcąc ją sprowokować, zapytał:

- Dobrze spałaś?

- Spałam jak zabita, dziękuję. - Uśmiechała się radośnie. - Całe to świeże morskie powietrze stanowi taką odmianę po mglistych miejskich zanieczyszczeniach.

Postanowił zmierzić jej trochę piórka.

- Nie zapytasz, jak ja spałem?

- Nie.

- Cóż, skoro już koniecznie musisz wiedzieć, ja wcale dobrze nie spałem. Cały czas się rzucałem i przewracałem - skrzywił się. - Musiałem wziąć w środku nocy prysznic...

- Cóż - odparła sztywno, jej udawany doskonały nastrój pierzchnął. - Nie musieliśmy tego dzisiaj robić. Słuchaj, jeśli jesteś zbyt zmęczony, zawsze możesz mnie podrzucić na lotnisko i złapię samolot do domu. Będiesz mógł odpoczywać, ile zechcesz.

Wykrzywił usta.

- Nie ma mowy. Nie powiedziałem, że jestem zmęczony. Zresztą generalnie mało śpiam.

Siedziała teraz cała najeżona, więc ciągnął dalej:

- Opowiedz mi o tych swoich ambicjach... o których wspomniałaś wieczorem, zapewniając mnie, że życie kobiety nie musi się kręcić wokół mężczyzny.

Patrzyła prosto przed siebie.

- To chyba nie jest twoja sprawa.

- Może i nie. Ale jestem ciekawy.

Niech go diabli, najwyraźniej próbował ją zirytować. Speszył ją wyznaniem, że brał w nocy prysznic. Aż do teraz udawało jej się utrzymywać mężnie tę fasadę. Westchnęła wymownie i Ben

odezwał się przymilnie:

- Do Salvadoru mamy jeszcze kolejne trzydzieści minut...

Zła na siebie uległa.

- Jeśli musisz wiedzieć, studiowałam na uniwersytecie inżynierię budowlaną. - Warto było to powiedzieć, żeby ujrzeć, jak gwałtownie obrócił głowę.

Uśmiechnęła się słodko.

- Nie spodziewałeś się tego, prawda?

- Kiedy kilka lat temu odwiedziłem twojego ojca w waszym domu, mówił, że wyjechałaś na narty...

Przewróciła oczami.

- Nigdy w życiu nie jeździłam na nartach. Byłam wtedy na uczelni. Ojciec nigdy nie lubił przyznawać się, nawet przed samym sobą, że jego córka ma ambicje i chce rozwijać własną karierę. Woli, by ludzie myśleli, że jestem nieszkodliwą bywalczynią salonów.

Ben zacisnął zęby.

- Muszę przyznać, że sam plasowałem cię w określonym kręgu towarzyskim...

- Cóż, nic dziwnego. Większości ludzi nie interesują moje kwalifikacje.

Zerknął na nią.

- A więc, co chcesz zrobić ze swoim dyplomem?

Zawahała się chwilę, zanim odparła:

- Interesują mnie strefy ogarnięte kryzysem, docieranie jako pierwsza na miejsce i pomoc przy odbudowie.

- Stąd twoje zainteresowanie fundacją, którą wspieraliśmy, przychodząc na tamte przyjęcie.

Kiwnęła głową.

- Pracowałam dla nich jako wolontariuszka po trzęsieniu ziemi w Południowo-Wschodniej Azji i mocno się w to zaangażowałam. Przekonałam ojca, żeby także ich wsparł.

- Czyli nie planowałaś wypadu na zakupy w ten weekend, prawda?

- Nie, wybierałam się na serię wykładów na Uniwersytecie Nowojorskim.

- Skłamałbym mówiąc, że przykro mi z powodu udaremnienia

ci tych planów – odparł z szelmowskim uśmiechem i leciutko gwizdnął. – Inteligentna, szlachetna i w dodatku piękna. Jeśli próbujesz zgasić moje zainteresowanie, to to nie działa.

Poczuła falę dumy i speszona chciała odwrócić uwagę od siebie.

– Dyrektorka tamtej fundacji to twoja znajoma?

Przytaknęła.

– Możesz mi wierzyć lub nie, ale mnie także interesuje przywracanie stabilizacji regionom dotkniętym katastrofami. Zabrałem sprzęt i ludzi do strefy kryzysowej, by pomagać przy zabezpieczaniu uszkodzonych budynków i infrastruktury. W zasadzie jestem jednym z patronów tej fundacji.

Myślała, że znalazł się na tamtym przyjęciu tylko po to, żeby ją spotkać. Teraz poczuła się jak żalosna idiotka.

– Zatrzymaj samochód, już.

Rękę trzymała na klamce, zanim zatrzymał samochód w zatoczce. Jak tylko stanął, wyskoczyła na zewnątrz, wściekła.

– Więc każdy cię tam znał, a mimo to pozwoliłeś, żebym robiła z siebie idiotkę, stając na tamtym podium i nie mając pojęcia, kim jesteś...

– Nie miałem zamiaru robić z ciebie idiotki ani ukrywać swojej tożsamości aż tak długo. Sposobność rozmowy z tobą, kiedy nie wiedziałas, kim jestem, była zbyt kusząca. Zwłaszcza po tamtej randce. A potem nie chciałem widzieć twojej reakcji, kiedy dowiesz się, z kim rozmawiałaś.

– To nie zmienia faktu, że mnie wykorzystałeś. Nudziłeś się? Chciałeś się zabawić moim kosztem?

– Nie, nic z tych rzeczy. Nie zamierzałem iść na tę imprezę. Znalazłem się tam, bo dowiedziałem się, że ty tam będziesz.

Niechętnie się do tego przyznawał. Mięsień drgał mu w szczęce. Uwierzyła mu. Wstydziała się okazanych emocji, więc tylko rzuciła:

– Okej. – Podeszła do samochodu i wsiadła.

Ben patrzył na nią, jak zapinała pasy, a potem sam wsiadł. Przez resztę drogi do Salvadoru rozmawiali już tylko wtedy, kiedy pokazywał rzeczy mogące ją zainteresować.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- To jest jeden z najstarszych placów w Salvadorze, wytyczony przez ówczesnego gubernatora, a tam to katedra Świętego Salvadora, należąca do najpiękniejszych kościołów barokowych w Brazylii.

Lia sądziła wcześniej, że nie mogła być już pod większym wrażeniem, ale kiedy z pięknego placu weszła za Benem do ogromnego kościoła i ujrzała, że wszystko dosłownie błyszczało od złota, oniemiała. Musiała przyznać, że najlepsze zostawił na sam koniec.

To było właściwe zakończenie tego nieoczekiwanie bardzo przyjemnego dnia. Lia stopniowo się odprężyła, kiedy Ben oprowadzał ją po pięknym mieście, które kiedyś w portugalskich koloniach dorównywało Lizbonie. Było jaskrawo kolorowe, ze stromymi brukowanymi ulicami i barokową architekturą. Z miejsca ją zauroczyło. Każdy wydawał się tu ciągle uśmiechać, a mieszanka kultur i narodowości dodawała temu tygłowi klimatu. Wszędzie rozbrzmiewała muzyka, a Ben niespodziewanie okazał się wspaniałym przewodnikiem. Urodzonym gawędziarzem i dżentelmenem w każdym calu. Jeśli w ogóle jej dotykał, to tylko przelotnie, żeby zwrócić na coś jej uwagę, jak wtedy, kiedy stanęli na skarpie, spoglądając na miasto i imponującą zatokę. To działało na nią mocniej, niż gdyby dotykał jej celowo.

Wcześniej zabrał ją na lunch do podejrzanie wyglądającej restauracji na bulwarze. Widząc jej niepewną minę, powiedział:

- Nie daj się zwieść tą fasadą, właściciel chce w ten sposób odstraszyć turystów. Podają tu najlepszą rybę w Brazylii. - Miał rację. Ku jej zdumieniu w środku restauracja wyglądała nieskazitelnie, a jedzenie było wyśmienite. Zapach morza podkreślał tylko smak potraw.

Teraz w katedrze Lia zatrzymała się przy drewnianym ołtarzu, pokrytym grubą warstwą złota. Potrząsnęła głową.

- To już przesada, ale jest piękny.

Ben spoglądał właśnie na sklepienie.

- Kamień, z którego wzniesiono większość tych budowli, został sprowadzony na statkach z Portugalii. Całe to przedsięwzięcie zapiera dech swoim rozmachem.

Jego słowa z trudem do niej docierały. Była zauroczona widokiem jego mocnej szyi i dumnego profilu. Zmysłowego kroju pełniejszej dolnej wargi. Zastanawiała się nad jego przeszłością... Wtedy ktoś wpadł na nią od tyłu i straciła równowagę, pochylając się do przodu. W mgnieniu oka silne ramiona objęły ją i podtrzymały. Ben przycisnął ją do siebie, przyjmując teraz nad jej głową czyjeś wylewne przeprosiny. Piersi miała przyciśnięte do jego twardych mięśni, dzieliła ich od siebie tylko cieniutka tkanina jego koszulki. Zauważyła przedtem, jak wyraźnie rysowała się pod nią jego muskulatura, ilekroć zawiąła morską bryza. I jak uroczo spłóviałe dżinsy przylegały do jego potężnych ud i jędrnych pośladków.

Grupa turystów oddaliła się, ale Ben jej nie puszczał. Czowała jakąś niemoc i niechęć do uwolnienia się z jego uścisku. Powoli uniosła wzrok i utonęła w tych niebieskich oczach. Wspomnienie namiętnego pocałunku w Nowym Jorku powróciło...

- Okej - zdołała w końcu wyksztusić. - Możesz mnie już puścić.

Dopiero po chwili to zrobił, mówiąc z lekkim grymasem:

- Moje myśli są teraz tak mało święte, że chyba tak będzie najlepiej.

Zanim wyszli z kościoła, zdołała się opanować. Zachodzące słońce oświetlało wszystko ostrymi barwami pomarańczy i różu. Uliczni muzycy wygrywali sugestywne tropikalne rytmy. Para starszuchów tańczyła ze sobą do tej muzyki. Lia poczuła beztroskę, jak wtedy na tarasie. Może oszołomił ją mocny zapach kadzideł w katedrze?

Ben zmarszczył brwi i wyszarpnął z kieszeni dżinsów komórkę. Lia nie słyszała żadnego dźwięku, więc telefon musiał mieć ściszony sygnał. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak wiele uwagi poświęcił jej przez cały ten dzień, z rzadka, jeśli w ogóle, spoglądając na telefon. W dobie cyfrowej łączności totalnej to

było doprawdy niezwykle. Zwłaszcza dla dyrektora generalnego potężnej firmy. Jej były narzeczony, mając na głowie znacznie mniej obowiązków, zawsze był przyklejony do swoich dwóch telefonów.

Ben spojrzał na nią.

- Odezwał się mój przyjaciel, który mieszka w tym mieście. Słyszał, że przyjechałem, i zaprosił mnie na przyjęcie do swojego domu dziś wieczór.

Poczuła żal, że ten ich wspólny dzień właśnie się skończył.

- Och... oczywiście powinieneś tam pójść. Złapię autobus albo taksówkę i wrócę do rezydencji na własną rękę.

- Nie zamierzam iść sam.

Zaczerwieniła się. W ciągu jednego dnia w tym uwodzicielskim otoczeniu w jej uczuciach do tego mężczyzny dokonała się sejsmiczna zmiana. Był o wiele bardziej czarujący, niż się spodziewała. Wcześniej liczyła na to, że łatwo będzie zachować wobec niego rezerwę. Ale teraz była cała rozpalona i z zewnątrz, i w środku, chociaż wiedziała, że tak naprawdę nie pasuje do mężczyzny takiego jak Ben Carter, konesera kobiet i uznanego playboy.

- Nie chcę się narzucać, ale ty powinieneś pójść.

- Kiedy ostatnio zrobiłaś coś spontanicznie dla zabawy? - spytał ją cicho.

Przez chwilę mrugała, zaskoczona. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że nie może sobie przypomnieć nic takiego przypomnieć. A co do zabawy...? Świetnie się bawiła, gdy wspólnie z ojcem żeglowali, ale nie robili tego już od dawna. Była córką Louisa Forda, pilnującą jego spraw, i niewielu z jej znajomych widziało w niej kogoś, z kimś można by się bawić. Poczuła niedorzeczny ucisk w gardle i bezradność.

- Cóż, jeśli jesteś pewien, że on nie będzie miał nic przeciwko temu...

- Nie będzie - uśmiechnął się. - Zobaczysz, jak tutaj się to odbywa, na o wiele większym luzie. Zarówno Luis, jak jego partner Ricardo uwielbiają otaczać się pięknem, w tym także pięknymi kobietami, więc mnie odeślą natychmiast na bok.

Spojrzała z niedowierzaniem na swój strój, zakurzony i wy-

mięty po długim dniu.

- Nie jestem odpowiednio ubrana na eleganckie przyjęcie.
- Znam miejsce, gdzie się nami zajmą.

Wyciągnął do niej rękę. Patrzyła na nią przez długi moment, a potem podała mu swoją. Zabrał ją do butików prowadzonego przez swoich przyjaciół. Denerwował się, czy Lia nie będzie kręcić nosem na skromny szyld z nazwą firmy nad drzwiami, ale najwyraźniej nie była uzależniona od designerskich metek. Szybko wyjaśnił Gaby, kuzynce Esmé i właścicielce sklepu, czego im potrzeba, a ona zaraz wręczyła mu kilka rzeczy, a Lię porwała ze sobą, kryjąc ją za aksamitną kotarą. Ben już czekał, przebrany w eleganckie czarne spodnie i koszulę.

Kiedy usłyszał szelest, odwrócił się i na sekundę zastygł w bezruchu. Lia stała przed nim bosą z włosami opadającymi na ramiona. A jej suknia... ten widok zaparł mu dech. Była długa, jedwabna, w głębokim kolorze królewskiego błękitu, na tle którego jej oczy lśniły niczym dwa klejnoty. Kuszące rozcięcie odsłaniało długą, kształtną nogę. Jej skóra zdążyła już przybrać od słońca lekko złotawy odcień, a na nosie pojawiły się delikatne piegę. Trójkątny dekolt sukienki kusił, żeby go rozsunąć i odsłonić bujną pierś...

Zaczęła się obracać przed lustrem.

- Wiedziałam. Jest zbyt...

Ledwo ją rozumiał.

- Nie! - zawołał chrapliwie.

Znowu się obróciła, powoli, niezdecydowana.

- Jest idealna - udało mu się wykrztusić. Wtedy pojawiła się Gaby. - Ben ma rację! Jest idealna na przyjęcie u Ricarda i Luisa. A na tobie, moja kochana, leży *perfeito*. Chodź, dobierzemy ci do niej buty.

Wychodząc z butików, polecił Gaby, by obciążyła jego kartę wszystkimi zakupami, ale Lia zatrzymała się, zatroskana, z ręką na kłamce.

- Zwróć ci pieniądze za ubrania. - To potwierdzało, że nie była zepsuta. Jeszcze jeden cios dla błędnych wyobrażeń Bena.

- Nie martw się tym - mruknął.

Wśliznęła się na siedzenie pasażera, a wtedy suknia rozchyli-

ła się nieco, odsłaniając idealnie krągłą pierś, otoczoną delikatną koronką. Zaciskając zęby, zamknął drzwi i obszedł samochód, modląc się o siłę, by trzymać się na wodzy. Nigdy nie potrzebował tego bardziej niż w tej chwili.

Przyjaciele Bena byli pełną entuzjazmu parą, która w kilka sekund porwała Lię w objęcia i do swojej barokowej rezydencji na wzgórzu, górującej nad całym miastem. Ku jej rozbawieniu Ben trafnie przewidział ich reakcję: wypytując ją o wszystko, całkowicie ignorowali Bena.

- Gdzie się podziewałaś całe nasze życie? To skandal! Nie możesz mieszkać w zimnej, szarej Anglii! Przeprowadź się tutaj! Potrzebujemy więcej pięknych kobiet!

Obaj naraz byli trochę męczący i Ben wkrótce wykorzystał pojawienie się innych gości, by umknąć zręcznie z Lią w stronę długich stołów przykrytych nieskazitelnymi, białymi obrusami. Uginały się pod ciężarem takiej ilości jedzenia, jakiej Lia nie widziała w całym swoim życiu. Można tam było znaleźć wszystkie możliwe przysmaki, ale ją kusily potrawy lokalne, ku radości szefa kuchni. Usiedli przy jednym z wielu małych okrągłych stolików rozstawionych dla gości. Atmosfera była sielankowa, migotały setki świec, a w dole lśniły światła miasta. W kącie przygrywał jazz band. Kiedy już zjedli, Ben wyprostował się na krzesło.

- Możesz już przyznać, to nie będzie bolało, obiecuję.

Szelmowska na niego i natychmiast wiedziała, co miał na myśli. Szelmowski uśmiech błąkał się wokół tych zbyt pięknych ust, a w niej coś się po prostu... rozplynęło. W białej, rozpiętej pod szyją koszuli Ben był nieprawdopodobnie przystojny. Podniosła z talerza małą kawałek sera i cisnęła nim w niego, mówiąc niechętnie:

- Dobrze. Tak, przyznaję. Cieszę się, że przyszłam na to przyjęcie i świetnie się bawię.

Strzepnął ser z ramienia i pochylił się ku niej.

- Wiesz, grzecznie byłoby powiedzieć „dziękuję”.

Z jego miny świetnie wyczytała sugestię, jak mogłaby to zrobić najlepiej... Przez sekundę żałowała, że nie ma dość pewno-

ści siebie, by przyciągnąć go do siebie bliżej, żeby mogła... Ta myśl wzbudziła rozkoszny dreszcz między jej nogami. Powiedziała zdyszczanym głosem:

- Nie przeciągaj struny, Ben.

Wpatrywał się w nią dłuższą chwilę.

- Nie będę... na razie.

Sama nie była pewna, czy potrafiła opierać mu się dużo dłużej. Albo czy tego chciała.

- Wspaniały okaz mężczyzny, prawda?

Lia drgnęła i zarumieniła się, przyłapaną przez jednego z jej gospodarzy, Ricarda, na tym, że pożera wzrokiem górującego o głowę nad tłumem Bena. Przystojny siwowłosy Włoch, jak się okazało właściciel kilku najbardziej luksusowych hoteli w Brazylii, taksował ją wzrokiem.

- Ja... tak, myślę, że jest przystojny - bąknęła.

Mężczyzna prychnął.

- *Cara*, to jeden z najbardziej seksownych mężczyzn na naszej planecie i ja teraz jestem zazdrosny o ciebie.

Kryjąc zażenowanie, uśmiechnęła się.

- Lepiej nie pozwól, żeby Luis to usłyszał.

Ricardo machnął lekceważąco ręką.

- Pożądanie nie jest zbrodnią.

Chciała zaspokoić ciekawość.

- Jak poznaliście Bena?

- Och, znamy go od czasów, kiedy dopiero zaczynał karierę. Byliśmy jednymi z jego pierwszych klientów. Zawsze interesowaliśmy się młodymi talentami. Zachwycił nas jeden z jego budynków na Manhattanie. To niesamowite, ile udało mu się osiągnąć, zważywszy na to, że był kiedyś dziedzicem jednej z największych fortun w Ameryce.

Zmarszczyła brwi.

- Co masz na myśli?

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- To ty nie wiesz?

- Czego?

- Ben urodził się w rodzinie należącej do amerykańskiej elity.

Jego ojcem był Jonathan Carter, człowiek, który praktycznie miał w posiadaniu niemal całą Wall Street. Dopóki się nie okazało, że latami defraudował pieniądze i okradał klientów oraz giełdę. W ciągu jednej nocy musiał się przeprowadzić ze wspa- niałej rezydencji na Upper East Side do jakiejś nory w Queens.

- Szok i niedowierzanie wstrząsnęły Lią. Jonathana Cartera uważano za synonim globalnego kryzysu i to na niego zrzucano większość odpowiedzialności.

Ben właśnie się odwrócił, rzucając jej błyszczące spojrzenie z końca sali. Za jej plecami Ricardo mruknął:

- Oddałbym wszystko za to, żeby to na mnie tak spojrział.

Zmusiła się do uśmiechu i ruszyła w kierunku Bena, zbita z tropu rewelacjami Ricarda. Tamte wypadki musiały mieć miej- sce, kiedy Ben był ledwie nastoletnim chłopcem.

Kiedy podeszła, jakaś efektowna kobieta, uosobienie ciemno- okiej brazylijskiej seksbomby, położyła rękę na ramieniu Bena. On szybko przyciągnął do siebie Lię, a kobieta błysnęła złowro- go oczami, uśmiechnęła się nieszczercze i odeszła. Lia próbowa- ła się odsunąć, ale Ben jej na to nie pozwolił.

- Co robisz? - Podniosła na niego wzrok. Opowieść Ricarda nią wstrząsnęła. Ben rzeczywiście doszedł do wszystkiego z ni- czego. Po tym, jak niegdyś miał wszystko.

- Myślę, że już czas wracać do domu.

Rozejrzała się, zdezorientowana. Tłum istotnie szybko top- niał. Było o wiele później, niż jej się wydawało.

- Okej - powiedziała ochryple. - Wracajmy.

Wziął ją za rękę i wyprowadził. Kiedy żegnali się z gospoda- rzami, wzruszyła się na myśl, że pewnie nigdy więcej ich nie spotka. Spędziła tu czas milej, niż przypuszczała. Świetnie się bawiła.

Kiedy znaleźli się w jeepie, zrzuciła sandały i rozprostowała nogi. Jak tylko wyjechali z miasta, Ben zapytał beztrasko:

- O czym rozmawiałaś z Ricardem?

- Nie wiedziałam, że twoim ojcem był Jonathan Carter - przy- znała uczciwie.

Zacisnęła ręce na kierownicy.

- Powinienem się domyśleć, że Ricardo nie przepuści okazji

do plotek.

- To nie tak - zaczęła bronić Ricarda. - Zapytałam, skąd się znacie, i tak się złożyło, że o tym wspomniał... - zamilkła, bo może rzeczywiście przyjaciel Bena był trochę plotkarzem.

- Mów dalej.

- Powiedział, że to niesamowite, jak wiele osiągnąłeś, zważywszy na to, że twoja rodzina straciła wszystko. - Kiedy milczał, dodała: - To nie są powszechnie znane fakty.

Zerknął na nią.

- Tak sądzisz, bo nie wpadłaś na to od razu, szukając informacji na mój temat w internecie?

- To nie fair - odpowiedziała gniewnie. - Ty wiedziałeś dokładnie, kim jestem, kiedy poprosiłeś swatkę, by zaaranżowała spotkanie ze mną.

Napięcie rosło. Ben odparł z wyraźną niechęcią:

- Moja przeszłość nie jest ogólnie znana, bo ludzie woleli o tym wszystkim zapomnieć. To stare dzieje. Zwłaszcza że mój ojciec umarł w biedzie i osamotnieniu, a matka poszła w jego ślady rok później. Uznano chyba, że odkupił swoje winy.

Czując, że nie życzyłby sobie frazesów, spytała tylko:

- Jak umarli?

- Ojciec zapił się na śmierć. Nigdy nie wylewał za kołnierz. Dopóki było go na to stać, pijał doskonałą whisky. Tańsze trunki mu nie posłużyły. Matka dostała ataku serca. Nie umiała się pogodzić z rzeczywistością.

- To dlatego sam nie pijesz? - szepnęła.

Skinął głową. Wyobraziła go sobie jako młodego chłopca, ładnego i uprzywilejowanego, bez wątpienia chodzącego do najlepszych szkół. Czekala go wspinała przyszłość, miał u stóp cały świat i nagle brutalnie wydarto mu to wszystko. Chcąc zmienić temat spytała:

- Ale dlaczego Brazylia? Co cię z nią łączy?

- Czy Ricardo nie odpowiedział ci na to pytanie?

- Powiedział, że zobaczył jedną z twoich prac na Manhattanie...

- Tak. Zaproponował mi budowę jednego ze swoich hoteli w Brazylii. To było w czasach, kiedy moja firma zaczęła stawać

na nogi.

- Ile miałaś wtedy lat?

- Około dwudziestu pięciu. - Wzruszył ramionami.

Lia była w szoku. Jak po tym wszystkim udało mu się osiągnąć tak astronomiczny sukces?

- Przyjechałem do Bahii rozejrzeć się w terenie i po spotkaniu z Ricardem podpisaliśmy umowę - mówił dalej. - Kończąc budowę, uświadomiłem sobie, że pokochałem to miejsce. Było jak haust świeżego powietrza. Inne, ekscytujące. Pełne rozmachu. Postanowiłem, że zbuduję tu dom na wakacje. Moja rodzina miała kiedyś dom w North Shore na Long Island. Tamtejsza społeczność była dla nas jak rodzina, ale kiedy ojciec stracił wszystko, odwrócili się od nas. A jak tylko zacząłem zdobywać uznanie, dawni kolesie ojca pojawili się ni stąd ni zowąd, jak gdyby nic się nie stało. To duszne środowisko było ostatnim miejscem, do którego chciałem wracać.

Lia słyszała gorycz w jego głosie. Gdzie byli owi przyjaciele, kiedy był osamotniony i bezbronny?

- Wygląda na to, że to była słuszna decyzja.

Chwilę później dojechali do rezydencji i Ben wysiadł, pomagając Lii wysiąść, jak najprawdziwszy dżentelmen. Gdy stanęła na ostrym żwirze, uświadomiła sobie, że jest boso. Zanim się zorientowała, co się dzieje, wziął ją na ręce i zaniósł do środka, jak gdyby nic nie ważyła.

W głowie jej wirowało, unikała jego wzroku, ogarnięta nienazwanymi emocjami. Uniósł palcem jej brodę.

- O co chodzi?

- Nie wiem. Ja tylko... Tak mi przykro, że przez to wszystko przeszedłeś. Nie umiem sobie nawet wyobrazić, jakie to było okropne.

- Co? - wykrzyknął i cofnął się gwałtownie. - Użalasz się nade mną teraz, bo biedny bogaty chłopiec wszystko stracił i musiał się zadowolić byle czym? Nagle wszystko jest łatwiejsze do przełknięcia, kiedy już wiesz, że urodziłem się w luksusach?

Przerażona, że mógł coś takiego pomyśleć, zawołała:

- Nie! To zupełnie nie tak...

- To było najlepsze, co mogło mi się przydarzyć - przerwał jej

szorstko. -Przywołało mnie do rzeczywistości, zanim mogłem stać się gnuśny i rozpuszczony przez życie. Poznałem wartość ciężkiej pracy i budowania czegoś własnymi rękami, czegoś, co nie runie.

- Rozumiem - powiedziała cicho, zrozpaczona, że tak źle ją zrozumiał.

Ben patrzył na stojącą przed nim kobietę, o włosach w nieładzie i w pięknej sukni ciągnącej się po podłodze u jej bosych stóp. Była taka szczupła, zgrabna i blada. Wiedział, że pomylił się co do niej, bo nie była snobką. To, co jej powiedział, nie było zagranie fair. Ale był wzburzony. Nigdy nie odkrył się przed nikim tak bardzo. Nie mówił nikomu w taki sposób o swojej przeszłości. O alkoholizmie ojca i słabości matki. Podeszła do niego z wyciągniętą ręką.

- Ben, przepraszam. Proszę, pozwól mi wytłumaczyć...

- Nie - powiedział szorstko. - Niczego nie musisz tłumaczyć, bo nie chcę już więcej rozmawiać. Chcę tylko tego... - Zanim zdołała powiedzieć coś jeszcze, podszedł, objął dłońmi jej twarz i ją pocałował. Tak jak tego pragnął. Z pasją. Na sekundę zamarła, a potem wtuliła się w niego, obejmując go za szyję. Wszystko uległo zapomnieniu. Rozchyliła wargi, a kiedy jego język dotknął jej języka, był zgubiony, zatracił się w niej cały. Położył dłonie na jej biodrach i przyciągnął ją bliżej. Tak blisko, by mogła poczuć, co z nim wyprawiała. Jęknęła mu prosto w usta, ale nie zwolnił uścisku, nie pozwolił jej się odsunąć. Poczwała ciepło między nogami. Płonęli z pożądania, tylko tak można to opisać. Nigdy niczego takiego nie czuła. Nie podejrzewała nawet, że była do tego zdolna.

- Nie mogę... - jęknęła. - To zbyt... zbyt wiele.

- To nawet nie jest dość.

Wziął ją za rękę i poprowadził w głąb salonu, do jednej z sof, i usadził tam. Cieszyła się z tego, bo nogi jej drżały.

Stał nad nią, zapatrzony.

- Jesteś taka piękna...

- Nie jestem...

Uklęknął przed nią, biorąc ją z zaskoczenia. Położył ręce na

jej udach i delikatnie rozłożył jej nogi. Patrzył jej w oczy.

- O tak, jesteś. Przepraszam za tamte słowa... Nie zasłużyłaś na to.

- To nic...

Położył ręce na jej biodrach i pociągnął ją ku sobie, kładąc ją na plecach.

- Co robisz? - szepnęła.

Uśmiechnął się szelmowsko. Seksownie.

- To, co chciałem zrobić, jak tylko ujrzałem cię w tej sukni...

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kiedy Ben w końcu się wyprostował, odrywając się siłą od upajającego smaku i zapachu Lii, nie był przygotowany na cudowny widok, jaki sobą przedstawiała. Włosy niczym czarna chmura okalały jej głowę. Niebieska jedwabna suknia leżała zmięta obok. Wyglądała jak ogłuszona i świadomość tego powstrzymała go przed sięgnięciem automatycznie do paska, by poszukać własnego zaspokojenia.

- Dobrze się czujesz?

Po chwili jej oczy oprzytomniały i kiwnęła głowa. Ale dostrzegł, jak drżały jej ręce, kiedy sięgnęła po suknię, zasłaniając się nią nieudolnie.

- O co chodzi, Lio?

Usiadła prosto, przygryzając nerwowo wargę. W końcu się odezwała.

- Kiedyś weszłam do biura mojego narzeczonego i przyłapałam go z jego sekretarką. Robił jej to, co ty właśnie robiłeś mi...
- umilkła.

Próbował doszukać się w jej słowach sensu.

- To dlatego z nim zerwałaś? Bo był niewierny?

Przytaknęła nerwowo, szkarłatna na twarzy.

- Tak, ale chodzi o to, że spałam tylko z Simonem...

Ben nie wymyśliłby takiego scenariusza i za milion lat. W jednej chwili wszystkie jego wcześniejsze wyobrażenia na temat Julianny Ford zniknęły. Była niedoświadczona i taka boleśnie bezbronna, suknię ścisnęła zaciśniętymi do białości dłońmi. Wstał i usiadł na kanapie bok niej, czując coś w rodzaju troskliwości.

Spojrzała na niego.

- Przykro mi, nie mam dużego doświadczenia.

- Co się wydarzyło z twoim byłym narzeczoną?

Zbladła.

- Kiedy kochaliśmy się po raz pierwszy... to bolało. Bardzo. Po tym nie chciałam... znowu się kochać. - Skrzywiła się. - Nie byliśmy w sobie zakochani. Chcieliśmy tego ślubu każde ze swoich powodów. Ale powiedział mi, że jestem oziębła i dlatego spał z sekretarką. Nie mogłam... nie chciałam po tym za niego wychodzić.

Ben poczuł wściekłość na tamtego mężczyznę, że zdradzał ją i pozostawił w strzępach jej pewność siebie. Sam nigdy w najmniejszym stopniu nie był zainteresowany odbieraniem kobiecie dziewictwa, ale teraz miał dziwaczne poczucie straty na samą myśl, że jej powodowany chucią narzeczony prawdopodobnie nawet nie zdawał sobie sprawy, jaki skarb trzymał w rękach. Lia nie była oziębła. W najmniejszym stopniu.

- Dlaczego zgodziłaś się na małżeństwo z rozsądku?

Speszona wstała, nadal pełna gracji, choć włosy miała w uroczym w nieładzie. Szybko narzuciła na siebie suknię. Z trudem powstrzymał się, by nie pociągnąć jej na kolana. Skuliła się, jak gdyby słysząc jego myśli.

- Zrobiłam to głównie dla ojca. Mówiłam już... jest staromodny. Wierzy, że będę bezpieczna tylko wtedy, gdy wyjdę za męża. Nieco wcześniej zachorował i byłam tym przerażona... Wiedział, że Simon miał poważne zamiary i błagał mnie, bym dała mu szansę. Umówiłam się więc z nim i okazało się, że obojgu nam zależało na czymś bardziej... praktycznym niż romantyczna relacja. - Spojrzała na Bena wyzywająco. - Wtedy wydawało mi się to dobrym pomysłem.

- Mnie nie musisz przekonywać - powiedział Ben z goryczą. - Widziałem, jak niewiele łączyło moich rodziców, kiedy dotknął ich kryzys. Nie mam złudzeń co do romantycznych ideałów.

Zapadła cisza i wtedy Lia postąpiła krok do tyłu. Ben wstał.

- Dokąd idziesz?

Przeraziła się, że po tym, co mu właśnie wyznała, zacznie się nad nią litować. Wzruszyła ramionami, by wydać się chłodna i spokojna, chociaż tak naprawdę była zdruzgotana.

- Do siebie.

- Jeszcze nie skończyliśmy.

- Posłuchaj - powiedziała. - Wiem, że nie tego się spodziewa-

łeś, myśląc o przelotnej weekendowej przygodzie. Chyba już ustaliliśmy, że nie jestem ulepiona z tej samej gliny co kobiety, z jakimi się zwykle spotykasz.

Chciała go wyminąć i odejść, ale powstrzymał ją i przyciągnął do siebie, zaglądając jej w oczy.

- Nie ma żadnych innych kobiet. Jesteś tylko ty. Mówisz mi, że tego nie chcesz?

Jak mogła zaprzeczyć, skoro przed chwilą wiła się i jęczała pod jego mistrzowską pieśczętą?

- Nie jesteś mi nic winien, Ben. Jeśli litujesz się nade mną...

Zacisnął dłonie na jej ramionach tak mocno, że zamilkła.

- Możesz mi wierzyć, to ostatnia rzecz, jaką teraz czuję. Chcę ciebie. To nie litość. To pożądanie.

- Ale nie jestem wystarczająco doświadczona... Rozczaruję cię.

- Nie mogłabyś mnie rozczarować, nawet gdybyś próbowała. Nie istnieje coś takiego jak brak doświadczenia... Liczy się to, jak dwoje ludzi do siebie pasuje. Nie jesteś oziębła, w najmniejszym stopniu. Tamten człowiek był idiotą. Chcę cię bardziej, niż pragnąłem kiedykolwiek innej kobiety. Ale jeśli powiesz, że naprawdę tego nie chcesz, pozwolę ci odejść.

- Nie mogę powiedzieć, że cię nie chcę. - Nie dbała już o to, jak i dlaczego się tu znalazła, wiedziała tylko, że była tu i nie chciała być nigdzie indziej. Rozpaczliwie pragnęła, żeby jeszcze raz pokazał jej, jak powinna reagować na mężczyznę. Że nie była oziębła.

A on, jak gdyby czytając jej w myślach, schylił się, wziął ją na rękę i zaniósł na górę. Ramieniem pchnął drzwi do swego pokoju, równie pięknego jak ten, który sama zajmowała, ale o bardziej męskim wystroju, odcieniach i barwach. Jej wzrok padł na masywne łożo na środku i zaschło jej w ustach.

Postawił ją na ziemi koło łóżka. Głos miał głęboki.

- Możesz puścić sukienkę.

Rozluźniła zbielałe palce ściskające brzeg materiału i rozwiązała pasek. Suknia rozchyliła się, odsłaniając piersi.

- Jesteś taka piękna - wymruczał, delikatnie zsuwając tkaninę z jej ramion, aż opadła na ziemię, a za nią rozpięty biustonosz.

Stała teraz zupełnie naga, rozpuszczone włosy opadały jej na ramiona. Oczy Bena pociemniały z żądz, a ona zagryzła zęby, by zdusić chęć zasłonięcia się ramionami. Nie chciała, by dostrzegł, jak bardzo bezbronna się czuła. Przywykł do kobiet, paradujących przed nim bez skrępowania.

Chcąc rozładować obezwładniające napięcie, dotknęła dłonią jego piersi. Tego muskularnego ideału, szerokiego i krzepkiego. Linia ciemnego owłosienia biegła wzdłuż umięśnionych żeber, płaskiego brzucha i znikwała pod spodniami. Ben wstrzymał oddech, pobudzony. Jej błędzące po jego piersi dłonie wydawały się drobne i blade na tle śniadej skóry. Wyczuwała mocne bicie jego serca i ogarnęły ją jakieś nienazwane uczucia, ale to nie był czas na okazywanie emocji.

Przesunęła dłonie wzdłuż jego wąskiej talii do paska przy spodniach. Rozpięła go, a potem guzik i zamek błyskawiczny. Opuściła mu spodnie, a on szybko z nich wyszedł. Potem ściągnęła mu bieliznę i oto stanął przed nią w całej swojej imponującej nagości. Nigdy wcześniej nie czuła się tak bardzo kobieco. Było w tym coś bardzo pierwotnego.

Niezdolna, by się powstrzymać i już sama siebie nie poznając, dotknęła jego twardego członka, przesuwając po nim dłonią rytmicznie, zafascynowana jego wrażliwością i stalową potęgą erekcji. Aksamitem skóry. Kciukiem zaczęła pieścić wilgotną główkę. Wtedy chwycił ją gwałtownie za rękę.

- Nie wytrzymam długo, jeśli nie przestaniesz.

Szybko pociągnął ją na łóżko i pochylił się nad nią, ogromny i piękny. Każdy nerw jej ciała dygotał. Na udzie czuła jego erekcję. Zadrżała na myśl o bólu, jaki sprawił jej kiedyś były narzeczony, ale znowu, jak gdyby czytając jej w myślach, odwrócił jej uwagę, ujmując w dłonie obie jej piersi i pieszcząc kciukami jej sutki. Potem zaczął je kolejno ssać, zadając jej rozkoszną torturę twardym językiem. Wiła się pod nim. Uniósł biodra, aż poczuła, jak jego członek napiera na miejsce, w którym była już śliska z pożądania. Rozsunęła szerzej uda, próbując unieść biodra, kiedy on nagle cicho zaklął i obrócił się na bok.

Lia uniosła głowę, ciężko dysząc.

- Co się stało? - Czyżby sobie uświadomił, że była dla niego

zbyt... Ale potem zobaczyła, że wyjmuje coś z komody przy łóżku. Usłyszała szelest folii. Wprawdzie nałożył prezerwatywę. Z ulgą położyła się, a on klęknął między jej nogami. Leżała rozciągnięta przed nim, niczym złożona w ofierze. Wyciągnął rękę i dotknął jej tam, gdzie pragnęła najmocniej.

- Chcesz mnie - powiedział.

Jak mógł w to wątpić? Jęknęła, kiedy wsunął jej do środka dwa palce. Czuła, jak jej mięśnie zaciskały się na jego palcach. Wygięła się, a on wsunął je głębiej, grając na niej jak na skrzypcach. Uniosła głowę, przeklinając władzę, jaką miał teraz nad nią i wydyszała:

- Chcę ciebie.

Oderwał od niej rękę i zawisł nad nią, udami rozpychając jej uda.

- Spójrz na mnie - powiedział ochryple. - Nigdy więcej nie miej wątpliwości, że jesteś bardzo ponętną kobietą. - Potem wszedł w nią powoli, cal za cal, do końca.

Był wielki... sprawiał jej niemal ból. Ale pozostał przez chwilę w bezruchu, pozwalając jej ciału dopasować się do siebie. Potem zaczął się w niej ruszać i świat Lii nagle ograniczył się do tu i teraz. Do tej chwili. Tego mężczyzny. I tych cudownych doznań w jej ciele. Nigdy nie czuła czegoś takiego, napięcie rośnie w niej z każdym jego ruchem. Objęła nogami jego plecy, wbijając mu pięty w napięte mięśnie. Trzymał ją mocno w uścisku, wbijając się w nią coraz gwałtowniej. Sięgnął ustami do jej warg i kiedy wiła się w nieznośnej bolesnej rozkoszy, wycisnęła mu na ustach desperacki pocałunek, zanim wszystko w niej eksplodowało, rozpadając się na milion kawałków. Z trudem docierał do niej krzyk Bena, kiedy i jego obezwładniła rozkosz.

Obudziła się kompletnie zdezorientowana, poznając, że nie znajduje się we własnym łóżku ani pokoju. Ciało miała w nieznanym sposobie obolałe i nagle wróciły wspomnienia. Nadchodził świt i pokój skąpany był w perłowych różowościach. Ostrożnie poruszyła głowę i nagle wstrzymała oddech na widok bezwstydnie nagiego Bena Cartera, leniwie rozpartego tuż obok. Nawet w tej pozycji, uśpiony, wyglądał wspaniale... Ciemny zarost zna-

czył jego brodę, nadając mu zawadiacki rys. Długie rzęsy ocieniały surowe i mocne linie twarzy. Jej wzrok powędrował w dół wzdłuż twardych mięśni aż do najbardziej męskiej części jego ciała. Zarumieniła się.

Kochali się potem jeszcze raz tej nocy, po tamtym pierwszym żywiółowym razie. Ten drugi raz był spokojniejszy, bardziej komfortowy, ale nie mniej intensywny. Wzruszenie chwyciło ją za gardło. Nie była oziębła. Tak naprawdę kobieta, która wyłoniła się spod mistrzowskiej ręki Bena, okazała się zmysłowa i zachłanna... i on jej to pokazał. Tak łatwo, jak gdyby naciskał włącznik, zapalając światło.

Poczuła zimny dreszcz na myśl, jak łatwo i całkowicie skapitulowała. Koniec końców, nie trwało to długo. Okazało się, że była nie mniej uległa wobec niego niż inne kobiety. Targała nią mieszanka emocji. Strachu, euforii i nadziei. I właśnie ta nadzieja sprowadziła ją z hukiem z powrotem na ziemię. Nadzieja... na co? Na to, co, jak sobie całe życie wmawiała, nie istniało? Że nie zostanie boleśnie odrzucona, jeśli komuś zaufa? Powiedział jej przecież wczoraj, że nie ma złudzeń co do romantycznych ideałów. Ona też ich nie miała. Chociaż przez oszałamiającą chwilę czuła tę nadzieję, a to było niebezpieczne.

Na myśl, że Ben się obudzi, a ona będzie próbowała udawać obojętność, kiedy nie miała pojęcia, jak rozegrać tego rodzaju sytuację, zrobiło jej się zimno. Nie miała się gdzie ukryć.

Odejście matki zdruzgotało jej ojca, ale spustoszyło także ją samą. Świadomość, że nie była kochana dość mocno, żeby matka została, zapadła głęboko w jej serce już w bardzo młodym wieku. To dlatego tak długo unikała bliskości i zgodziła się na małżeństwo z rozsądku. Nikomu nie udało się zburzyć muru, jaki wokół siebie zbudowała... aż do teraz. Na myśl, że była tak samo podatna na złamane serce jak ojciec, zrobiło jej się niedobrze.

Wyśliznęła się bezszelestnie z łóżka. Ben poruszył się, marszcząc czoło we śnie, a potem znowu się uspokoił. Serce jej biło mocno w mieszance paniki i desperacji. Zalażł jej za skórę na tyle mocno, by zrozumiała, że fundamenty, które z takim trudem zbudowała, okazały się bardziej chwiejne, niż chciała przy-

znać. A to wystarczyło, by uciekła od niego tak daleko, ja tylko mogła.

Następnego ranka Ben snuł się po rezydencji w naprędce narzuconych na siebie szortach, niejasno zaniepokojony. Gdy się obudził, nie znalazł Lii w łóżku koło siebie. Nie było jej też w łazience.

Kiedy się ocknął, pierwsze, co do niego dotarło, to poczucie głębokiej satysfakcji, większej niż doznana kiedykolwiek przedtem. Powoli wracały wspomnienia. Po tym, jak kochali się po raz drugi, Lia ułożyła się na nim kusząco, moszcząc głowę między jego barkiem a głową. Gładził ją leniwie po plecach, mrużąc: „Widzisz? Mówiłem... Doświadczenie nie ma tu nic do rzeczy. Po prostu pasujemy do siebie”.

Mruknęła w odpowiedzi, zbyt wyczerpana, by mówić. A on się uśmiechnął... zanim zasnął. Budząc się, nie znalazł jej obok siebie.

Zwykle wstając rano po nocy z kobietą, nie oczekiwał, że będzie ona nadal w jego łóżku, wolał zachować dystans. Ale z Lią nie przyszło mu to nawet do głowy. Zmarszczył brwi, nie znajdując jej także w salonie, ale nadal się nie martwił. Przecież musiała gdzieś tutaj być.

Po raz pierwszy, odkąd jego wzrok spoczął na jej fotografii, znowu miał jasny umysł. Nie spodziewał się, że chemia między nimi będzie aż tak fajerwerkowa. A kiedy to odkrył, zamierzał ją namówić, by pozostała dzień dłużej... Chciał ją uwodzić i przekonać w końcu, by wzięła z nim ślub. Skoro skłaniała się ku temu wcześniej, musiała być otwarta na tę opcję znowu, pomimo tamtej porażki. Najwyraźniej to było ważne dla jej ojca, który z kolei był ważny dla niej.

Lia Ford nie była jednowymiarową osobą, przekonał się o tym już na samym początku. Była bystra, inteligentna, pełna współczucia, namiętna. Choć kiedy siadał do dyskusji z szejkiem i innymi, idea wzięcia sobie żony zdawała mu się wręcz klaustrofobiczna, teraz jednak myśl o ślubie z Lią pociągała go w sposób, o jaki nigdy by się nie podejrzewał. Wcześniej nie doceniał, jak wiele kobieta taka jak ona mogła wnieść w jego życie. Chciał

kogoś z temperamentem, a Lia miała go całe mnóstwo. Była odważna i nie bała się stawiać mu czoło, a to mu się podobało. Nigdy by się nie załamała. Podniosłaby się i zaczęła wszystko od nowa. Ich małżeństwo w niczym nie przypominałoby związku jego rodziców, który rozpadło się jak domek z kart na pierwszy sygnał kłopotów.

Wszedł do kuchni, ale tam też jej nie znalazł. Dom wydawał się podejrzanie cichy, ale zignorował rosnący niepokój. Podziwiał niezależność Lii i to, że nie uwieszała się kurczowo na mężczyźnie następnego ranka, ale chciał ją teraz zobaczyć. Z ulgą pomyślał o plaży – oczywiście tam właśnie musiała być. Ale kiedy wyszedł na bielutki piasek, ujrzał, że plaża jest pusta. Usłyszał jakiś dźwięk z tyłu i odwrócił się błyskawicznie. To była Esmé idąca w stronę domu z naręczem kwiatów.

- Dzień dobry, szefie. Długo pan spał, zupełnie jak nie pan - zawołała wesoło.

Ben skrzywił się na przypomnienie, że ostatnia noc pozostała na nim ślad, ale uśmiechnął się z przymusem, podążając za Esmé z powrotem w stronę domu.

- Widziałaś może Lię?

- To pan nie wie? - Odwróciła się gwałtownie.

- Czego nie wiem? - Z trudem zapanował nad irytacją.

Esmé położyła kwiaty na stole.

- Wyjechała wcześniej rano. Kiedy Joao podrzucił mnie tutaj, zabrała się z nim do Salvadoru. Mówiła, że musi dzisiaj złapać pierwszy samolot do Nowego Jorku, a potem wrócić do Anglii. Sądziłam, że pan o tym wie. Powiedziała, że nie chce pana budzić i zostawiła list. Zniosłam go do gabinetu.

Patrzył, jak Esmé układa kwiaty w wielkim wazonie. Czuł, jakby coś rozdzierało mu serce. Nie rozumiał tego. Nigdy żadna kobieta przed nim nie uciekała. A ona zrobiła to już po raz drugi.

Odwrócił się, zanim Esmé mogła coś zauważyć, poszedł do gabinetu i ujrzał tam liścik, zaadresowany bardzo kobiecym charakterem pisma. Otworzył go i przeczytał.

„Drogi Benie,

Jeszcze raz dziękuję za Twoją hojną dotację dla fundacji. Myślę, że po ostatniej nocy warunki umowy zostały należycie i w pełni wypełnione. W końcu to i tak nie miało trwać dłużej niż weekend, prawda?

Miło spędziłam czas w Bahii, dziękuję. Wątpię, żebym jeszcze kiedyś na Ciebie wpadła.

Wszystkiego dobrego,
Lia Ford”.

Zgniółł gniewnie list w rękę. Nie docenił jej, znowu. Ale ona także go nie doceniała, sądząc, że więcej się nie spotkają. Już on tego dopilnuje i tym razem już mu nie ucieknie. Bo była dla niego ideałem. Nie pozwoli jej ani tej szansie wymknąć się z rąk.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- A gdzie jest twój ojciec, Lio? Mam nadzieję, że nie zachorował znowu?

Lia miała ochotę uderzyć jednego z największych branżowych konkurentów ojca i zetrzeć mu z twarzy uśmiezek zadowolenia, mówiący, że tak naprawdę właśnie na to liczył. A jednak sama uśmiechnęła się błogo.

- Ależ skąd, George, nie jest chory. Był po prostu zbyt zajęty, by się tutaj zjawić, i dziwię się właściwie, że widzę tu ciebie. Nie wiedziałeś, że właśnie odbywa się doroczne zimowe przyjęcie związku budowniczych?

Rumiana i bez tego twarz mężczyzny poczerwieniała jeszcze bardziej.

- Cóż, oczywiście wiedziałem... ale nie chodzę na takie imprezy...

I dlatego właśnie nie odnosisz nawet ułamka sukcesów mojego ojca, pomyślała. Odpowiedziała pogodnie:

- Oczywiście, że nie. Podobnie jak większość. On jednak się przy tym upiera, co roku, a jego ludzie go za to uwielbiają.

Mężczyzna zmył się tak błyskawicznie, że Lia omal nie roześmiała się w głos. To było trochę nieładnie z jej strony, bo tak naprawdę ojciec zdecydował się pójść na przyjęcie związkowców głównie dlatego, że nie było tam stada sępów, gotowych go szarpać, by sprawdzić, na ile jest jeszcze mocny.

Właśnie wysłał jej pisanego jak zwykle nieudolnie wielkimi literami esemesa: JESTEM JUŻ W DOMU, NIE MARTW SIĘ. TRZYMAJ ZA MNIE STERY, KOCHANIE. TATA.

Westchnęła. Miała poczucie, że to właśnie robiła przez całe życie. Trzymała stery za swojego ojca, który tak naprawdę nigdy nie doszedł do siebie po odejściu żony. Ale nie miała w zwyczaju uzalać się nad sobą. Nikt na tej ekskluzywnej londyńskiej imprezie charytatywnej nie powinien myśleć, że nie wszystko

było w najlepszym porządku.

Przykleiła do ust promienny uśmiech na widok dwóch innych rywali ojca podążających w jej kierunku, zanim jednak zdołali się do niej precyzyjnie, dostrzegła kątem oka coś, co kazało jej spojrzeć w bok. Serce jej stanęło.

W drzwiach stał w klasycznym czarnym smokingu Benjamin Carter, lustrując tłum w poszukiwaniu czegoś. Lub kogoś. Błyszczące niebieskie oczy spoczęły na niej i znieruchomiały, wstrząsając nią do głębi. Wszystko wokół zniknęło. Słyszała obok jakieś głosy, wiedziała, że miała na coś odpowiedzieć, ale nie miała pojęcia na co. Zdawało się, że to sekundy minęły od chwili, kiedy widzieli się po raz ostatni, a tak naprawdę upłynął już tydzień.

Tydzień od momentu, kiedy zostawiła go samego, leżącego w pomiętej pościeli. Serce biło jej wtedy tak mocno. Podobnie było teraz. Szedł w jej kierunku, a ona bezradnie patrzyła, jak się zbliża. Na tle tłumy bladych Brytyjczyków wydawał się wyższy, ciemniejszy i jeszcze bardziej przystojny. Przez moment zastanawiała się, czy nie ma halucynacji. Wierzyła, że nigdy więcej już go nie zobaczy.

Długimi krokami pokonywał dzielącą ich odległość, a tłum rozstępował się przed nim, szepcząc za jego plecami. Kiedy stanął tuż przy niej, nie mogła wykrztusić słowa. Nie odrywając od niej oczu, powiedział:

- Panowie, proszę wybaczyć, że przeszkadzam, ale mamy z panną Ford pewną niedokończoną sprawę.

Chwyił ją mocno za rękę i zaczął odchodzić, ciągnąc ją za sobą. Fala pożądania, jaka ją zalała w chwili, gdy jej dotknął, uświadomiła jej, że to nie były halucynacje. Musiała chwycić połę sukni jedną ręką, żeby się nie potknąć. Kiedy tak szli, uchwyciła w długim lustrze ich odbicie. Była przy nim taka drobna, z nagimi ramionami w długiej sukni, z włosami wysoko upiętymi w kok. Wpadła w panikę i próbowała oswobodzić rękę, ale on tylko wzmocnił uścisk. Wreszcie stanął i się odwrócił; twarz miał zaciętą. Zniknął gdzieś ten kulturalny, uładowany mężczyzna, którego zobaczyła po raz pierwszy. Był wściekły. Co zamiast ją przestraszyć, wzmogło tylko jej gniew. Za to, że

wdarł się gwałtownie do jej świata i zachwiał jej równowagę. Znowu.

- Co ty wyprawiasz? - warknęła. - Jesteś na moim terenie.

Uniósł brew.

- Och, proszę o wybaczenie, Lady Ford, czy jesteś właścicielką tego hotelu?

- Nie, oczywiście, że nie. - Zaczerwieniła się, ale zaraz to ona uniosła brew. - Wylądowałeś swoim samolotem tu na trawniku obok? Planujesz kolejne porwanie?

Trzymał ją mocno za rękę, patrząc jej prosto w oczy, drugim ramieniem próbując objąć ją w pasie i przyciągnąć do siebie. Splanowała się, czując jego podniecenie. Oczy mu lśniły. Wokół tłoczyli się ludzie i przeklinała siebie za to, że nie poczekała z tą konfrontacją do momentu, aż zostaną sami.

- Zadałaś mi pytanie.

- Jakie pytanie? - Zmarszczyła brwi.

- W tym swoim liściku, napisałaś, cytuję: „to i tak nie miało trwać dłużej niż weekend, prawda?”.

- To było pytanie retoryczne. - Zarumieniła się jeszcze bardziej.

- Już nie, bo jak wierzę, właśnie na nie odpowiedziałem.

- Jak to?

Poruszył się lekko w jej stronę w sposób niepozostawiający wątpliwości, co miał na myśli.

- Lepiej wyjdź ze mną teraz, chyba że wolisz uraczyć swoje towarzystwo przedstawieniem, jakie woleliby obejrzeć prywatnie albo za pieniądze.

Opanowały ją emocje, jakich nie chciała nazwać. To nie był sen. On tu był i nadal jej pragnął. A ona pragnęła jego... Z Brazylii pośpiesznie wyjechała przerażona, ale teraz nie mogła już sobie przypomnieć, dlaczego musiała przed nim uciekać.

Wykorzystał jej wahanie, wyprowadzając ją z sali do dyskretnego lobby. Drzwi windy otworzyły się tuż obok i Ben nagle zmienił kierunek, wciągając ją do środka, zanim się szybko zamknęły, niemal przytraskując jej suknię. Winda zaczęła się wznosić i w tej ograniczonej przestrzeni Lia poczuła nawrót paniki. On naprawdę tu był. A teraz nie miała już gdzie się scho-

wać.

- To szaleństwo, Ben. Nie możesz mnie porywać, gdziekolwiek czy kiedykolwiek zechcesz.

Nacisnął guzik i winda gwałtownie stanęła. Między piętrami.

- Mam z tym twoim listem problem - odezwał się przeciągle niskim głosem. - Głównie z tym jego fragmentem, w którym napisałaś, że nasz... związek nie potrwa dłużej niż weekend.

Zabrakło jej tchu. Czy to była jej wyobraźnia, czy też lustro w windzie rzeczywiście zaczęły zaparowywać? Z trudem rozumiała, co powiedział.

- To było właśnie tym? Związkiem?

- Naprawdę myślisz, że wydałem wszystkie te pieniądze tylko po to, by zaciągnąć cię do łóżka?

W tym właśnie tkwiło niebezpieczeństwo... w myśleniu o tym, czego tak naprawdę od niej chciał. Albo, co gorsza, czego ona chciała. Potrząsnęła głową.

- Nie. Nie myślę tak.

Seksowny uśmiech pojawił mu się na twarzy, a jej natychmiast zmiękły nogi. Napięcie między nimi rosło. Ben nie zmierzał donikąd. Rozchichotana beztroska z Nowego Jorku powróciła. Może znalazł się tu, by dokończyć to, co zaczęli w Brazylii? By spędzić z nią jeszcze jedną noc? Dwie? I wtedy powrócić do własnego życia. W końcu, przypomniała sobie, on nie uznawał związków, prawda?

Podobnie jak ona. Nie powinna panikować wtedy w Brazylii. To wypaliłoby się tam do końca. Ale czy położenie geograficzne miało jakieś znaczenie? Przestała walczyć z nieuniknionym i poddała się pożądaniu.

- Pocałuj mnie, Ben.

Uśmiechnął się, objął dłońmi jej twarz i pocałował ją, wpychając język głęboko do jej ust. Przypominając jej, jak wielką dawał jej rozkosz i to, że nie była oziębła. Mocno objęła go za szyję. Przeleciał taki szmat drogi, żeby pocałować ją właśnie tak, mocno, namiętnie i bezwstydnie.

Wygięła się w jego stronę, puls skoczył jej gwałtownie, kiedy poczuła męski dowód na to, jak bardzo go podniecała. Opuścił ręce po śliskiej tkaninie jej sukni i podparł dłońmi jej pośladki.

- Obejmij nogami moje biodra.

Zrobiła to, nie myśląc. Suknia podniosła się wysoko na jej udach, kiedy uniósł ją bez wysiłku. Objęła go nogami w pasie. Całując ją, wsunął rękę pod jej sukienkę i koronkowe majtki. Jęknęła mu prosto w usta, nieprzytomna. Oparł ją plecami o lustrzaną szybę i przytrzymał biodrami. Suknia była ciasna, ale Ben uwolnił jedną z jej piersi. Kciukiem zaczął pieścić sutek. Wyglądał jak pijany. Kosmyk włosów opadł mu na czoło. Odgarnęła go z czułością.

- Dotykaj mnie... tak jak przedtem.

Uśmiechnął się i zaczął lizać jej naprężony sutek.

- W ten sposób? - spytał z niewinną miną.

- Tak - warknęła, powodowana jeszcze większą potrzebą. - Niech cię diabli... mocniej.

Opuścił głowę i wziął jej sutek głęboko do ust. Stężała, zamykając oczy, na granicy ekstazy, ale on był bezlitosny, poruszając biodrami wbijał się w nią. Wystarczyło tylko, żeby ściągnął jej majtki i rozpiął spodnie i już były w niej, gdzie tak strasznie go pragnęła... Nagle otworzyła oczy i ujrzała w lustrze swoje nogi oplatające Bena i jego ciemną głowę na swojej piersi. Własne rumieńce, błyszczące oczy, potargane włosy i obrzmiałe usta. A byli przecież w windzie.

- Nie możemy kochać się tutaj.

Ben zamarł, ale ona beztrąsko zmieniła nagle zdanie.

- Właściwie nigdy wcześniej nie kochałam się w windzie...

Ben się opamiętał.

- Nie ma mowy. Nie zamierzam zostać jak prostak z Ameryki przyłapany *in flagrante delicto* w windzie eleganckiego hotelu.

Zdjął jej nogi ze swoich bioder i pomógł jej stanąć. Ledwo trzymała się na nogach i dopiero po chwili, kiedy winda znowu ruszyła, uświadomiła sobie, że nadal ma odsłoniętą pierś. Ben zręcznie ją zakrył, wygładzając suknię. W samą porę, bo drzwi właśnie się otworzyły i wsiadła para starszych ludzi, mamrocząc, ile to czasu musieli czekać na windę. Lia powstrzymała śmiech, a Ben wziął ją za rękę i mocno uścisnął.

Winda znowu się zatrzymała i wyszła z niej za nim, nie mając pojęcia, dokąd ją prowadzi, dopóki nie stanęli przed jakimiś

drzwiami i nie otworzył ich hotelowym kluczem. Na myśl, że zarezerwował pokój w tym samym hotelu, poczuła coś, co dusiła w sobie od momentu, kiedy wsiadła w Salvadorze do samolotu do Nowego Jorku. Nadzieję.

Zatrzasnął za nimi drzwi i znowu uniósł ją do góry, oplatając jej nogami swoje biodra.

- A teraz, na czym to stanęliśmy?

Kiedy się obudziła, właśnie świtało. Przez kilka sekund leżała, mrugając, rejestrując przyjemne dolegliwości w swoim ciele. Jej suknia wisiała niedbale na krześle obok, a szlak wiodący od drzwi do łóżka znaczyły porozrzucane na podłodze części jej bielizny. Zarumieniła się na wspomnienie pośpiechu, z jakim kochali się wsparci o drzwi... a potem, jak powoli robili to po raz drugi... a potem trzeci.

Odwróciła głowę i ujrzała Bena leżącego w całym swoim bezwstydnym, męskim splendorze. Wrażenie *déjà vu* sprawiło, że momentalnie poczuła się oszołomiona. Instynktownie zaczęła się poruszać, ale on nagle otworzył oczy i przygwoździło ją potężne udo, a jego ręka znalazła się na jej piersi.

- Dokąd to się wybierasz? - Głos miał rozkosznie ochryply.

Cała jej brawura, usprawiedliwienia, jakich używała, żeby móc kochać się z Benem zeszłej nocy, w chłodnym świetle poranka zbladły.

- Powinam już iść.

- Myślę, że to bardzo zły pomysł.

Pochylił głowę i zaczął wyciskać pocałunki na jej nagim ramieniu, a jego dłoń gładko przesunęła się po jej brzuchu w dół, aż do miejsca między jej nogami, rozsuwając je, żeby się przekonać, jak bardzo go pragnęła. Znowu. Natychmiast.

Uśmiechnął się z zadowoleniem. Zirytowana własną słabością poderwała się i wzięła go przez zaskoczenie, unosząc się, siadając na nim okrakiem i przytrzymując mu ramiona za głową. Mógł bez trudu się uwolnić, ale przez moment znalazł się na jej łasce, chociaż iluzorycznie.

Powoli zaczęła się poruszać w górę i w dół, coraz szybciej i mocniej. Widziała, jak się zaczerwienił, a jego źrenice się roz-

szerzyły. Oboje ciężko oddychali. Ben uniósł głowę i chwycił zębami jej sutek, gryząc go delikatnie i wywołując gwałtowny dreszcz. A wtedy, pokazując jej, jak niewielką ma nad nim kontrolę, poruszył się i znalazła się na plecach, znowu uwięziona pod nim. Sięgnął po prezerwatywę i sprawnie ją wciągnął. Zanim wzięła kolejny oddech, zatopił się w niej głęboko, nie pozwalając jej na ucieczkę wzrokiem ani na moment. Orgazm, który nimi wstrząsnął, pojawił się szybko i był tak silny, że odsunął wszystko inne na bok. A zaraz potem Ben przytulił ją mocno, obejmując rękami i nogami i coś w niej w środku po prostu... roztopiło się.

Kiedy znowu się obudziła, Bena nie było w łóżku. Wypatrzyła go w salonie, ubranego w ciemne spodnie i szary sweter z długimi rękawami, który bynajmniej nie tuszował jego mięśni. Chodził po pokoju, rozmawiając przez komórkę. Wykorzystała to szybko, zatrzasnąwszy się w łazience. Unikała przeglądania się w lustrze, nie chcąc widzieć skutków burzliwej nocy i poranka. Unikała też niebezpiecznych myśli w rodzaju „Dlaczego tak naprawdę tu się zjawiał?” albo „Co teraz będzie?”. Zdecydowała się zdusić je w zarodku, bo idąc z Benem znowu do łóżka, wzmocniła tylko swoje obawy, że nie była tak emocjonalnie obojętna, jak by chciała. Jak on bez wątpienia był.

Kiedy weszła cichutko do salonu, Ben siedział właśnie przy stole, czytając gazetę. Odłożył ją, kiedy podeszła, i omiótł ją od stóp do głów błękitnym spojrzeniem. Nawet pod grubym szlafrokiem czuła, jak jej ciało reaguje.

- Zamówiłem dla ciebie trochę ubrań, żebyś się mogła przebrać.

Przez sekundę poczuła wzruszenie z powodu jego troski i ulgę, że nie będzie się musiała wstydzić, wychodząc z hotelu w jaskrawym świetle dziennym.

- Dzięki, zwrócę ci pieniądze.

Pozostawił to bez komentarza. Usiadła i zerknęła na tacę ze śniadaniem.

- Nie byłem pewien, na co miałabyś ochotę...

- Wystarczy na razie kawa - mruknęła, unikając jego wzroku.

Ben sięgnął po wysoki smukły dzbanek i nalał do filiżanki aromatycznej kawy. Nie mogła oderwać oczu od jego dłoni, dużych, umięśnionych, a jednak eleganckich. Pomyślała o ich dotyku na swojej skórze i szybko napiła się kawy, by odsunąć te wspomnienia. Dopiero po chwili spojrzała na niego.

- Więc... jakie masz plany w Londynie?

Spojrzał na nią z uśmiechem.

- Ciebie, Lio. Ty jesteś moim planem.

Odstawiła filiżankę z głośnym brzękiem porcelany.

- Nie możesz oczekiwać, że rzucę wszystko, żeby dostosować się do ciebie. Mam tutaj swoje życie... pracę.

Zmrużył oczy.

- Pracę dla twojego ojca? Tak jak wczoraj wieczorem... będąc jego emisariuszką?

- To przecież firma rodzinna.

- A co z twoimi własnymi ambicjami?

- Chyba nie jesteś tu po to, by roztrząsać możliwości mojej kariery?

- Nie, oczywiście. - Pochylił głowę, ustępując. - Ale tak się składa, że mam w Londynie swoje biuro. Korzystam z tej podróży, żeby skonsultować się z moją ekipą na miejscu. Pracujemy nad kilkoma projektami i mam umówionych kilka spotkań w trakcie mojego pobytu. - Pochylił się w jej stronę. - Ale, najważniejsze jest to, że chcę poznać cię bliżej, Lio. Dlatego właśnie tu jestem.

Jej głupie serce drgnęło, kiedy obawa walczyła z nadzieją. Uciekła przed tym z Bahii, a on ją odnalazł. Bała się, że nie była wystarczająco silna, żeby odejść od niego po raz drugi. A on to wiedział.

- Co my tu robimy, Ben? - spytała.

Gdyby jakaś inna kobieta zadała mu takie pytanie, już by uciekał.

- Cóż, na początek nie opuścimy tego pokoju przez cały weekend. - Widząc jej natychmiastowy sprzeciw, dodał szybko: - Słuchaj, żadne z nas nie jest takie, jak nam się obojgu wydawało, zgodzisz się chyba ze mną?

Kiwnęła głową w milczeniu.

- Chcę cię poznać bliżej. Spędź ze mną ten weekend. - Wsunął rękę pod jej szlafrok, dotykając jedwabistej skóry nagiego uda. Poczuł, jak jej ciało reaguje na te pieszczotę.

Kiedy się znowu odezwała, miała zdyszany głos.

- Słuchaj, ja...

Zamilkła i przygryzła wargę, kiedy jego dłoń zagłębiła się między jej uda.

- Niech cię diabli, Ben.

- Więc, co ty na to? - uśmiechnął się bezwstydnie.

Jego ręka poruszała się do góry, zbliżając się do gorącego spojenia jej ud. Był bezlitosny, ale nie powstrzymała go, kiedy rozchylił jej nogi.

- Mówisz, że to tylko weekend?

- Tak, tylko weekend. - Powiedział sobie, że skoro ją uwiódł, to przekona ją i do małżeństwa.

Patrzyła na niego długą chwilę, a potem poruszyła się gwałtownie. Już myślał, że wstaje i wychodzi, ale ona tylko przerzuciła nogę i usiadła na nim okrakiem. Przechyliła głowę na bok, ściągając mu sweter przez głowę.

- Cóż, na początek, jesteś o wiele za bardzo wystrojony jak na weekend rozpusty...

- Jaki mamy dziś dzień? - wymamrotała sennie w poduszkę, czując palec przesuwający się po jej kręgosłupie. Zadrżała i jęknęła. Usłyszała stłumiony śmiech i chciała mu posłać gniewne pojrzenie, ale nie miała dość siły. Zebrała resztkę energii, obróciła się, przesunęła rękę Bena i podciągnęła prześcieradło wysoko, okrywając się nim. Spojrzała na niego złowrogo.

Uniósł dłoń z miną uosabiającą niewinność, ale daleko mu było do tego. Był bardzo niegrzeczny, sprawiając, że robiła niewymownie swawolne rzeczy całymi godzinami, a noc przechodziła w świt, potem w dzień, potem zapadał zmrok i znowu noc...

A teraz znowu zrobiło się ciemno. Mógł nastąpić koniec świata, a Lia o niczym by nie wiedziała.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Oparł dłonie po obu stronach jej ciała i pochylił nad nią swój

szeroki, nagi tors.

- Jest niedziela wieczór i chyba już nie mogę zamówić kolejnego posiłku przez room service.

Była wstrząśnięta. Wiedziała, co to za dzień, oczywiście. Ale nadal... Usłyszeć, jak potwierdza, że minęły prawie trzy pełne dni tej uczyty zmysłów, było obezwładniające. Pod mistrzowską pieśczęcią Bena odkryła własną zmysłowość i nauczyła się nią napawać. Za samo to zatraciła dla niego część swojej duszy. Uczepiła się jego słów, zadowolona, że znalazła pretekst, by wy dostać się z tej zbyt intymnej przestrzeni.

- Znam tu w pobliżu pewne miejsce...

ROZDZIAŁ ÓSMY

Lia mogłaby żałować, że przyprowadza Bena do swojej ulubionej restauracji, gdyby nie była taka głodna i fizycznie osłabiona nadmiarem rozkoszy. Bardzo lubiła tamtejsze nagie kamienne ściany obwieszane włoskimi widoczkami w odcieniu sepii i przykryte czystymi obrusami małe stoliki z wazonikami pełnymi sztucznych kwiatów.

Przygotowała się na krytykę, chociaż Ben wydawał się rozluźniony i wyglądał wprost fantastycznie w spłowiałych dżinsach i lekkim wełnianym swetrze.

- Przywykłeś na pewno do bardziej eleganckich lokali, ale chociaż jest tu skromnie, serwują jedzenie warte grzechu - powiedziała.

Ben spojrzał na nią z tym swoim szelmowskim uśmiechem, który był niczym pieszczota.

- Gdybym wiedział, że jesteś taką tanią randką, zabrałbym cię do jakiejś knajpy przy plaży w New Jersey zamiast do Bahii. - Potem pochylił się i dodał konspiracyjnie: - Zdradzę ci, że na studiach spędziłem wiele weekendów, serwując głodnym nowojorczykom pizzę margeritę i lazanie.

- Jak to się stało, że trafiłeś na studia? - spytała, korzystając ze sposobności, jaką jej podsunął.

- Jako dzieciak z rodziny zastępczej?

Wzruszyła lekko ramionami i kiwnęła głową. Wiedział, że nie była snobką i to nie było tego rodzaju pytanie. Po prostu ciekawiło ją, jak zaczął wspinaczkę na sam szczyt. Właśnie podano im przystawki i Ben skosztował swoich *calamari fritti*, po czym wytarł usta.

- Kiedy moi rodzice umarli, umieszczono mnie w pierwszej rodzinie zastępczej w Queens.

- Nie miałeś przyjaciół ani krewnych, którzy mogli się tobą zaopiekować?

- Rodzice oboje byli jedynakami, a dziadkowie wtedy już nie żyli. Mama miała trudności z zajściem w ciążę. Urodziłem się w wyniku wieloletnich starań o zapłodnienie in vitro.

Lia spróbowała zupy, ale nie czuła jej smaku. Cała jej uwaga była skupiona na Benie. Odłożyła łyżkę.

- Jak to było... po ich śmierci?

Spojrzał na nią. Silny, budzący respekt. Trudno było sobie wyobrazić, że ten mężczyzna mógł kiedykolwiek być bezbronny.

- Ciężko... ale odczuwałem niemal ulgę. Oboje zupełnie się załamali. Ojciec stał się zgorzkniałym pijakiem. Wracalem do domu ze szkoły, pobity po raz kolejny z powodu swego akcentu, innych manier i dlatego, że wyprzedzałem znacząco wszystkich kolegów w klasie, i znajdowałem go nieprzytomnego na kanapie. Mama była całkowicie bezradna. Księżniczka z Long Island przeżywająca koszmar na jawie. Musiałem przy nich wszystko robić. - Zacisnął zęby. - Ale nie to gryzło mnie najbardziej, tylko fakt, że tak łatwo się poddali.

Lia próbowała zignorować narastający ucisk w piersiach.

- Bito cię za twój akcent?

- Codziennie. Dopóki nie uświadomiłem sobie, że muszę stawić opór. I stawiałem. Nauczyłem się wtapiać w tłum. Zanim moi rodzice zmarli, zmieniłem się tak bardzo, że nie rozpoznałby mnie już żaden z moich kolegów z dawnej szkoły. - Spojrzał na nią z ostrzegawczym błyskiem w oku. - To nie jest przyjemna historia, Lio.

- Jeśli myślisz, że szukam przyjemnych historyjek, to nadal nie masz pojęcia, kim jestem - wypaliła w odpowiedzi.

Ben potrząsnął głową, z zagadkowym wyrazem oczu.

- Przypomnij mi, dlaczego to nie opalasz się właśnie na jachcie jakiegoś milionera, martwiąc się wyłącznie o to, czy opaleniźna jest równomierna?

- A tylko coś takiego miałabym do wyboru, prawda? - Uniosła brew. - Mogłabym zapytać cię o to samo, z pewnością zarobięś dość pieniędzy...

Ben uniosł szklanke, wykrzywiając usta w grymasie.

- Zasłużyłem sobie na to. *Touché*.

Kiedy nadal milczał, najwyraźniej czekając na jej odpowiedź,

powiedziała:

- Już mówiłam, to mnie nigdy nie interesowało. W szkole zawsze dobrze się uczyłam, bardziej pochłonięta studiami niż plotkami czy ciuchami, a to niekoniecznie przysparzało mi wielu przyjaciół.

Ben przechylił głowę na bok, z wyrazem oczu, który ją zaniepokoił.

- Dlaczego odnoszę wrażenie, że byłaś nieśmiałym dzieckiem? Podczas aukcji na podium także byłaś onieśmielona.

Wciągnęła szybko powietrze. Naprawdę widział ją tak strasznie na wyłot? Wobec jego przenikliwości czuła się bezbronna.

Czekał na jej odpowiedź i kusił ją, żeby się roześmiać, ale jednak się przyznała.

- Byłam nieśmiała jako dziecko. Paraliżująco. Jakałam się i cały czas czerwieniłam.

- Ale przewyciężyłaś to - słyszała w jego głosie podziw.

- Musiałam. Nie mogłam pozwolić, żeby mnie to ograniczało.

Podano im dania główne i Lia wykorzystała okazję, żeby odwrócić od siebie jego o wiele zbyt spostrzegawcze spojrzenie.

- Ciągle jeszcze nie powiedziałeś mi, jak dostałeś się na studia - zmieniła temat.

Skrzywił się, ale ona znowu tylko uniosła brew. W końcu westchnął.

- To się zaczęło od policjanta, Irlandczyka, o nazwisku Clancy. Pewnego dnia przyłapał naszą bandę na gorącym uczynku. Zanim skończyłem szesnaście lat, znalazłem się w gangu. Byliśmy na dobrej drodze, żeby zostać prawdziwymi przestępcami. Wagarowaliśmy, okradaliśmy sklepy. Wcześniej nie znalazłem się na jego radarze, więc Clancy przyjrzał się uważnie mojej historii. Kiedy dowiedział się, skąd pochodzę, wziął mnie na stronę i wygarnął mi bez ogródek, że życie dało mi większe szanse niż któremukolwiek z tych dzieciaków i że marnuję schedę, jaką pozostawili mi rodzice. - Potrząsnął głową. - Nie było ze mną łatwo w tamtych czasach, miałem w sobie dużo złości i goryczy do świata. Z trudem do mnie dotarł... Ale namówił mnie, żebym przystąpił do programu mentorskiego, w ramach którego liczni biznesmeni przyjmowali dzieciaki na staż. Wylądowałem

jako asystent majstra na okolicznej budowie i tak się to zaczęło. Wyrwałem się z gangu... Starłem się trzymać możliwie z dala od problemów. Na szczęście trafiłem na dłużej do stabilniejszej rodziny zastępczej. Kiedy skończyłem średnią szkołę, mój mentor pomógł mi uzyskać stypendium na studia i zrobiłem dyplom. Od tej chwili każdą minutę spędzałem, pracując albo jako kelner, albo na placach budów na terenie całego Nowego Jorku. Chwytałem każdą możliwość i wykorzystywałem ją, nie oglądając się za siebie.

Lia słuchała uważnie, próbując nie wyobrazić sobie tamtego pełnego złości nastolatka, walczącego z całym światem, i nie współczuć mu aż tak bardzo. Czuła, że Benowi by się to nie podobało. Zamiast tego podniosła do ust kawałek swojego *carpaccio* i powiedziała lekko:

- I to wszystko?

Ben spojrział na nią i odrzucił do tyłu głowę, wybuchając śmiechem.

- Nie przestaje mnie pani zadziwiać, panno Ford.

Śmiertelnie przeraziła ją własna radość z tego, że udało jej się go rozśmieszyć.

- Staram się.

- Dlaczego tak bardzo chronisz swego ojca? - spytał, mrużąc oczy.

Odłożyła widelec, natychmiast zajmując pozycję obronną.

- Zawsze byliśmy tylko my we dwoje... Po odejściu mojej matki ojciec tak naprawdę nigdy nie doszedł do siebie. Chorował całymi latami i zawsze podejrzewałam, że to kwestia w równej mierze psychologiczna co fizyczna.

- Nie możesz brać wiecznie jego spraw w swoje ręce.

- Wiem - odparła, czując na barkach nieustanny ciężar oczekiwań ojca. Pomyślała przez chwilę, jak by to było cudownie znaleźć w kimś oparcie. Ale ocknęła się szybko.

Kiedy zjawił się kelner, Ben poprosił o rachunek. Lia czuła ulgę, że nie zamierzał mówić więcej o jej ojcu. Rosły w niej emocje, na jakie nigdy sobie nie pozwalała. Kiedy wyciągnął do niej rękę, po tym jak zostawił na stole pieniądze, bez wahania podała mu swoją.

Chłodne powietrze na zewnątrz jej nie otrzeźwiło. Czuła się tak, jak gdyby Ben otworzył puszkę, z której wysypywało się, wszystko, co latami trzymała w zamknięciu. Na zawsze. Odwrócił się do niej i pochylił nad nią swoją twarz, wyrazistą w światłach wieczoru.

- Lio...

Wspięła się i położyła mu dłoń na ustach. Czuła ciepło jego oddechu na dłoni.

- Po prostu mnie pocałuj, Ben.

Musnął ustami jej dłoń, a potem przyciągnął ją do siebie i pocałował, mocno i namiętnie. To był równie skuteczny sposób jak inne, być powstrzymać myśli i uczucia, których nie chciała analizować. On też najwyraźniej wolał unikać rozmowy, popychając Lię do taksówki, zanim nie poniosły ich zmysły na środku zatłoczonej ulicy. Atmosfera na tylnym siedzeniu taksówki była tak gęsta od erotycznego napięcia, że kiedy w końcu wpadli do apartamentu, nie zdołali nawet dotrzeć do sypialni, zatrzymując się na pierwszym miękkim podłożu. Opanowani potrzebą tak gwałtowną, że gdy było już po wszystkim, Lia zorientowała się, że nadal są częściowo w ubraniach.

Kiedy w końcu dotrli do sypialni i Ben zdjął z niej resztę ubrań z taką ostrożnością, jak gdyby była z porcelany, Lia wiedziała już, że ma poważny problem. Żadna ilość odurzającego seksu nie mogła utrzymać na dystans emocji i myśli buzujących pod powierzchnią.

Następnego ranka Lia rozkoszowała się gorącą kąpielą, gdy Ben rozmawiał przez telefon, owinięty fantazyjnie ręcznikiem. Mogłaby się przyzwyczaić do tego dekadentckiego stylu życia, o ile puszka Pandory z uczuciami, którym unikała stawiania czoła od poprzedniego wieczoru, pozostawała zamknięta. Ale na to było już za późno.

Chciała zanurzyć się pod wodę, położyć wszystkiemu tamę, zagłuszyć to. Ale nie mogła. To było tak, jak gdyby huragan o kształtach Bena Cartera brutalnie wtargnął w jej życie, niszcząc i rzucając wszystko na wiatr, i teraz nie była już pewna, do czego pasowała. Czy nawet kim była. Niechętnie wyszła z wan-

ny. Wytarła lustro i wciągnęła powietrze na widok swojego różowionego odbicia. Z trudem rozpoznała samą siebie.

Włosy miała upięte do góry, a długie kosmyki oblepiały jej policzki i czoło. Szeroko otwarte oczy były pełne troski, a jednocześnie podejrzenie rozmarzone. Dostrzegła na swojej bladej skórze ślady w miejscach, gdzie Ben dotykał jej ustami czy rękami, co automatycznie wprawiło ją w dreszcz. Zamyślona rozpamiętywała, jak całkowicie Ben Carter nią zawładnął. Po tym weekendzie nie mogła się dłużej oszukiwać, że dla niej to był tylko seks... Ale czym to było dla niego?

Pukanie do drzwi poderwało ją na nogi.

- Tak?

- Wskoczę do francuskiej cukierni, którą mijaliśmy wieczorem. Masz na coś ochotę?

- Tylko na croissanta, dzięki.

- Okej, wracam za dziesięć minut.

Wyszła z łazienki i szybko ubrała się w dzinsy i jedwabną bluzkę, które Ben zamówił dla niej tamtego pierwszego poranka „po”. Trochę zdesperowana, próbowała zliczyć wszystkie te poranki „po”. I nie udało jej się. Jak gdyby czas się zatrzymał.

Zaczęła chodzić po salonie, próbując się uspokoić. Nie mogła przestać myśleć o tym, że być może dla Bena to także było czymś więcej. Zeszłego wieczoru tak wiele jej o sobie powiedział, a niechęć, z jaką to robił, oznaczała, że zwykle trzymał ludzi na dystans. Tym razem nie postępował tak, jak zwykle z kochankami, o ile można było wierzyć plotkom. Czy mężczyzna pragnący tylko przelotnej przygody przemierzyłby Atlantyk, żeby dowiedzieć się czegoś o kobiecie?

Wbrew wszystkim złym przeczuciom czuła w trzewiach drżenie zakazanego podniecenia. Być może... tylko być może... to było czymś więcej. I być może Ben nie odleci tak po prostu do Nowego Jorku. Ale wtedy coś się w niej zapadło. Bo jak mogło się to udać, skoro mieszkali na innych kontynentach? Jak mogłaby zostawić ojca? W tej gonitwie myśli narastała w niej lekka histeria. I nadzieja. I rodzaj euforii. Zakochiwała się w Benie...

Nagle usłyszała jakiś szelest przy drzwiach i poszła sprawdzić. Przez drzwi wsunięto im plik porannych gazet. Ben musiał

je wcześniej zamówić. Automatycznie schyliła się, żeby je podnieść, zerkając na nagłówki, i raptem jeden przykuł jej uwagę. Reszta gazet wypadła jej z rąk.

„Amerykański potentat budowlany goni za dziedziczką firmy budowlanej do Anglii, po wspólnym weekendzie za milion dolarów w Brazylii. Czy Julianna Ford poskromi dzikość Bena Cartera?”

Pod nagłówkiem widniało ziarniste zdjęcie Bena i Lii całujących się na ulicy poprzedniego wieczora. Chwilę przed tym, jak wsiedli do taksówki.

Zrobiło jej się niedobrze i wróciła do salonu, przysiadając na skraj krzesła. Można było oczekiwać, że ktoś tak znany jak Ben Carter będzie tropiony i śledzony, ale dla Lii, która nigdy nie naraziła się tabloidom, widok własnego nazwiska w druku był szokiem. Zmarszczyła brwi na widok kolejnego zdjęcia, które wydało jej się znajome, bo gdzieś już je wcześniej widziała. Przedstawiało Bena i trzech innych playboyów wychodzących z prywatnego klubu na Manhattanie kilka tygodni wcześniej. Artykuł powracał do spekulacji na temat powodu spotkania mężczyzn tamtego wieczoru i czy miało to coś wspólnego z odwróceniem negatywnej uwagi ze strony prasy, z jakim się spotykali. Zawierał też nieprzyzwoitą sugestię, że Ben Carter, zważywszy na koneksje rodzinne Lii, miał nadzieję wymienić z Lią coś więcej niż tylko płyny fizjologiczne. Wyobraziła sobie, jak jej ojciec ogląda tę gazetę. Ta myśl przyprawiła ją o mdłości.

Właśnie wtedy odezwał się sygnał komórki i dostrzegła swój telefon na stoliku obok. Zmarszczyła brwi na widok nazwiska widniejącego na ekranie: Dante Mancini. Włoski potentat, z którym Ben spotykał się tamtego wieczoru na Manhattanie razem z Xanderem Trakasem i szejkiem Zaynem Al-Ghamdim. Ale dlaczego wysłał do niej esemesa? I skąd właściwie miał jej numer? Zerknęła na wiadomość.

„Widziałeś dzisiejszą prasę, Carter? Wygląda na to, że Twoja milionowa inwestycja się opłaciła. Możesz wyprzedzić nas wszystkich w drodze do ołtarza...”

Próbowała odblokować telefon, by przeczytać resztę wiadomości i dopiero wtedy zorientowała się, że to nie była jej ko-

mórka. Dokładnie taki sam model, ale ten należał do Bena. W pierwszej chwili była zdezorientowana. Pojedyncze słowa rozbrzmiewały jej w głowie: inwestycja... ołtarz... wyprzedzić nas wszystkich. Przed oczami stanęło jej ich zdjęcie, wychodzących razem z klubu, ponurych i zdeterminowanych. Zadrżała od przyprawiającego o mdłości podejrzenia, że była największą idiotką świata.

A wtedy usłyszała odgłosy obwieszczające światu powrót Bena z cukierni.

Wchodząc, ujrzał na podłodze w korytarzu gazety. Natychmiast wyczuł, że coś jest nie tak, podobnie jak wtedy w Bahii, kiedy obudził się, a Lia zniknęła. Zacisnął usta. Jeśli uciekła znowu, tak jak wcześniej...

Ale wchodząc do salonu, zastał ją stojącą w oknie tyłem do niego. Ulga, jaką odczuł, mogłaby go zaniepokoić, gdyby nadal nie czuł się nieswojo.

- Hej, przyniosłem ciastka i croissanty.

Nie odwróciła się od razu, a kiedy to zrobiła, ujrzał, że twarz miała stężałą. Błądą. Ramiona skrzyżowała na piersi w obronnym geście. W niczym nie przypominała zarumienionej od snu kobiety, która się uśmiechała, kiedy obudził ją pocałunkami...

Odstawił torbę na pobliski stolik.

- Czy coś się stało?

- Można tak powiedzieć - odparła bezbarwnym głosem.

Zmarszczył brwi, ale zanim zdołał zapytać co, odezwała się znowu.

- O co tu chodzi, Ben? Co my tu robimy?

Przez głowę przemknęło mu milion zmysłowych obrazów, ale zaniechał jakichkolwiek niemądrych komentarzy.

- A jak ci się wydaje?

Patrzyła na niego przez długą chwilę.

- Szczerze mówiąc, nie jestem pewna. To było wyrafinowane uwiedzenie, jak na kogoś, kto kilka tygodni wcześniej uchodził za notorycznego playboya.

Teraz to Ben poczerwieniał i zacisnął zęby.

- Dotąd nie wdawałaś się w takie analizy.

- Nie - jej głos zabrzmiał gorzko. - Byłam taka głupia.
- Nie jesteś głupia, Lio,
- Nie? - Uniosła brew.

Sięgnęła po gazetę leżącą obok na kanapie i cisnęła nią w niego. Złapał ją w locie. Ujrzał nagłówki i poczuł ulgę.

- I to wszystko?

- Nie, to nie wszystko - odparła lodowato. - Dostałeś esemes od przyjaciela. Przeczytałam go przez pomyłkę, bo myślałam, że to mój telefon. Ale nie żałuję. Okazał się wielce pouczający.

Ben spojrzał na swoją komórkę leżącą na stoliku obok i podniósł ją. Zobaczył wiadomość, odblokował telefon i przeczytał ją do końca. „Możesz wyprzedzić nas wszystkich w drodze do ołtarza, więc ciesz się wolnością, póki możesz. Ciao, Mancini”. Miał ochotę rzucić telefonem o ścianę.

Kiedy spojrzał znowu na Lię, była jeszcze bledsza. Jej oczy niczym dwa szafiry migotały gniewem.

- Dlaczego nazwał to milionową inwestycją?

- Po tym jak prasa zaczęła niszczyć naszą reputację, zainicjowałem spotkanie z innymi. Wszyscy jesteśmy związani z fundacją charytatywną, która na tym ucierpiała. Założyłem, że jeśli Trakas, Mancini i szejk Al-Ghamdi zechcą zjednoczyć ze mną siły, pokonamy prasę jej własną bronią.

- Więc spotkaliście się i co? Omówiliście strategię?

- Coś w tym rodzaju.

Milczała przez chwilę, ale Ben niemal słyszał pracę jej mózgu. Była bystrą kobietą. To nie zajmie jej dużo czasu... Otworzyła szeroko oczy. Z jej twarzy zniknęła resztką koloru.

- Umówiłeś się ze mną na randkę tydzień po waszym spotkaniu. Założę się, że jeśli zadzwoniłabym teraz do Elizabeth Young, powiedziałyby mi, że wszyscy zostaliście jej klientami.

- To prawda. Wszyscy się do niej zgłosiliśmy, bo zdecydowaliśmy, że aby poprawić nasz wizerunek, najlepiej będzie... usatkwować się.

- Nie mogę w to uwierzyć... Zawarliście jakiś chory pakt, żeby znaleźć kobiety i się z nimi ożenić, udowadniając światu, że zrywacie z wizerunkiem playboyów?

- Ludzie żenią się codziennie z błahszych powodów.

- Nic dziwnego, że nazwał to milionową inwestycją. Miałaś nadzieję, że stracę dla ciebie głowę? Od początku podejrzewałam, że masz jakiś ukryty cel... Ale nie przypuszczałem, że posuniesz się aż tak daleko.

Była wściekła. Wmawiała sobie, że nie czuje się zraniona ani zdradzona. Że emocje, które przed chwilą w sobie odkryła, były tylko skutkami hormonów po seksie. Bo jak mogłaby się zakochać w tym mężczyźnie? Przeklinała siebie za to, że nie zaufała swoim przeczuciom już na początku. Że dała się zwieść Benowi na tyle, by myśleć... Ale co sobie myślała? Że mu na niej zależało? Zależało mu wyłącznie na swojej bezcennej firmie i reputacji. Gdzie się podział jej zdrowy cynizm?

- Już wcześniej byłaś gotowa wyjść za mąż z rozsądku - zauważył.

Poczuła się jeszcze gorzej na myśl o tym wszystkim, co mu powiedziała.

- Tak, byłam. Ale wprowadzono mnie w błąd i robiłam to z samych niewłaściwych powodów.

- Więcej przemawia na naszą korzyść niż kiedykolwiek z twoim byłym narzeczonym. Jest między nami szalona chemia. Mamy wspólne ambicje i cele. Możemy zbudować udane życie. Mogę zaopiekować się tobą i twoim ojcem. Przyznałaś, że nie domaga. To tylko kwestia czasu, kiedy się wycofa. Nie możesz chronić go bez końca. Ani poświęcać dla niego własne ambicje.

- Naprawdę musiałeś myśleć, że znalazłeś rozwiązanie wszystkich swoich problemów, kiedy dostrzegłeś mnie w portfolio Lewiatana. Nie tylko bardzo praktyczną żonę, ale też zabezpieczenie późniejszej ekspansji na Europę.

Ben zaczerwienił się.

- Doprowadziłbym firmę twojego ojca do rozkwitu. Jego imię by przetrwało.

- Opisujesz mi tu biznesową fuzję. Nie słuchałeś, kiedy mówiłam, że bogactwo i jego atrybuty nic dla mnie nie znaczą?

Zacisnął zęby.

- Łatwo to mówić, kiedy nie odebrano ci tego i nie musiałaś patrzeć na cierpienia swojej rodziny.

Zamilkła. Miał w pewnym sensie racje. Ona sama przetrwała-

by coś takiego, jej ojca by to zabiło.

- Nie jestem zainteresowana małżeństwem z rozsądkiem z tobą, Benjaminie Carterze.

Mięsień zadrgał mu w szczęcie.

- A jednak przygotowywałaś się do życia w kłamstwie z mężczyzną, który kompletnie na ciebie nie działał?

- Wolałabym tamto niż życie z mężczyzną, który zdobywa to, czego chce, uwodząc... kłamiąc swoim ciałem i dotykiem. Brzydzę się tobą.

Coś w nim pękło. Poczł się bezsilny wobec jej oskarżeń. Miała rację. Z początku rzeczywiście chodziło mu o małżeństwo. Ale nie wiedziała, że niemal o tym zapomniał, odkrywając, jak bardzo się w niej zatracił. Stale i wciąż na nowo.

- Wciąż mnie pragniesz - wycedził, rozwścieczony. Zdesperowany.

- Nie. To nic nie znaczy, Ben. Tylko dlatego, że mogłam reagować...

Powstrzymał jej dalsze słowa pocałunkiem. Gniotąc całą tę cierpką słodycz wargami, tuląc ją do piersi. Przez długie sekundy trwali w mocnym uścisku, a wtedy jej wargi zmiękły i rozchyliły się. Poczł euforię. Wiedział tylko, że jej ponętne kształty wtulają się w niego, a jej język dotyka jego języka.

Całowali się rozpaczliwie, namiętnie. Wściekle. Już miał ją unieść i zapleść jej nogi na swojej talii, żeby zanieść ją do sypialni, kiedy nagle zeszywniała i wyrwała się z jego objęć. Oboje dyszeli chrapliwie. Potrząsnęła głową i wychrypiła:

- Nie, nie chcę tego, Ben. Chcę czegoś więcej niż małżeństwo z rozsądkiem i wzajemne pożądanie, które nieuchronnie się wypadli. To wszystko jest kłamstwem.

Krew odpłynęła Benowi z mózgu. Ciężko mu było jasno myśleć.

- To nie jest kłamstwo. To największa szczerść, jaką kiedykolwiek odczuwałem.

Lia znowu potrząsnęła głową i wyszła do sypialni. To, że chwiała się na nogach, co świadczyło o tym, jak mocno na nią działał, nie stanowiło dla Bena pociechy. Nie był pewien, czy

sam stał pewnie na swoich. Po kilku minutach wróciła, niosąc dużą designerską torbę, w której przyniesiono zamówione przez Bena ubrania. Szybko podeszła do drzwi, unikając jego wzroku.

- A więc co? - zawołał zrozpaczony. - Mówisz, że pragniesz teraz więcej? Po tym wszystkim?

Zatrzymała się w drzwiach, z ręką na klamce. Uniosła brodę i w tym momencie wyglądała niemal po królewsku.

- Może pragnę. Może nie jestem tak cyniczna, jak myślałam. A już na pewno nie tak cyniczna jak ty. A poza wszystkim, nigdy nie mogłabym ci zaufać. Będę wdzięczna, jeśli zostawisz mojego ojca w spokoju.

Dopiero po sekundzie zarejestrował jej słowa. Musiała mieć o nim nadal niskie mniemanie, nieważne, jakie zwierzenia sobie wzajemnie czynili.

- Twój ojciec więcej o mnie nie usłyszy. Co nie znaczy, że nie znajdzie się na celowniku innych.

- Może. Ale poradzimy sobie z tym, jeśli i kiedy tak się stanie.

Otworzyła drzwi, zanim zdążył jakoś zareagować, i już jej nie było... Pozostała tylko delikatna nuta zapachu jej perfum. Ben czuł odrętwienie, pomimo gasnącej resztki podniecenia we krwi. Na języku nadal czuł smak jej ust. Przez sekundę nie mógł złapać tchu. Odwrócił się i podszedł do okna, wzrok zatrzymał na rosnących budynkach, przypominających mu o tym, co ważne. Co solidne.

Dotrzyma słowa. Nie będzie ścigał jej ojca. Są inni, których weźmie na celownik, nie pozwoli, żeby to stało mu na drodze. A co do pierwotnego planu znalezienia żony? Nic się nie zmieniło.

Im szybciej zapomni o Lii Ford i przywróci swoje życie na właściwe tory, tym lepiej. Nieco później już w drodze na lotnisko wykonał telefon. Kiedy Elizabeth Yound odebrała i poznała go, nie tracąc czasu, powiedziała mu, co myśli o tym, że naga-bywał Lię za jej plecami.

Kiedy skończyła mówić, Ben wtrącił swoje:

- Czy może mnie pani umówić na jeszcze jedną randkę? Proszę.

Po długiej chwili odparła:

- Dam panu jeszcze jedną szansę, panie Carter. Tylko dlatego, że wiem, jak ciężko mężczyznom takim jak pan przyznać, że się mylą i powiedzieć proszę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- A więc przyznajesz, że chodzi ci o małżeństwo z rozsądku. To dość cyniczne. - Kobieta, z którą Ben w ciągu minionych dwóch tygodni był na trzech bardzo niewinnych randkach, nie mogąc zmusić się nawet do myśli o pocałunku z nią, zdawała się oswajać z tą myślą przez moment. Potem powiedziała: - Musiałabym się zastanowić i przeczytać oczywiście intercyzę, ale z pewnością istnieje taka możliwość.

Ben nawet nie był tym zdziwiony. Umawiał się z wystarczającą liczbą pragmatycznych i cynicznych kobiet w Nowym Jorku, by wiedzieć, że wiele z nich nie wzdragałoby się na propozycję taką jak ta. Niektórym mogła się wydać nawet romantyczna.

Siedząca naprzeciw niego przy stoliku w jednej z najbardziej ekskluzywnych restauracji na Manhattanie kobieta była olśniewającą piękną. Wypielegnowaną blondynką. Tłumaczką z ONZ. Byłaby idealną żoną, przynajmniej na papierze. Ale świadomość, że to, czego szukał, znalazło się w zasięgu jego ręki, zupełnie go nie wzruszała. Bo wiedział, że tak się nie stanie.

Ktoś inny nie dawał mu spokoju. Lia. Myślał, że wyrzuci ją ze swego życia i podąży dalej. Ale to było niemożliwe. Nawet teraz płonął z żądzy do niej. Wybrałby ją spośród niezliczonej ilości odpowiednich kobiet, nieważne że go rzuciła... Liczyła się tylko ona.

Czując bezsens ten sytuacji, odłożył serwetkę.

- Przepraszam, ale to się nie uda.

Kobieta zmarszczyła brwi.

- Posłuchaj, chętnie się nad tym zastanowię.

- Przepraszam, ale nie.

Wstała zirytowana i spojrzała na niego z góry.

- Jeśli chcesz mojej rady, idź i uporaj się z tym, co cię dręczy, cokolwiek lub ktokolwiek to jest. Jeśli potem zechcesz porozma-

wiać, zadzwoń do mnie. Ale nie będę czekać w nieskończoność – dodała ostrzegawczo, zanim wyszła.

Ben rzucił pieniądze na stół, zde gustowany samym sobą, i także wyszedł na zimne nocne powietrze z rękami głęboko w kieszeniach płaszcza.

Mijał budynek za budynkiem, aż znalazł się przy ruinie starego domu, który niedawno przejął. Właśnie dziś został zburzony. Reklamowy plakat z jego nazwiskiem zasłaniał stertę gruzów. Dom liczył sobie dwieście lat i popadł w ruinę. Miał swoją historię, ludzie żyli tu i umierali. Był świadkiem ich życia. A teraz już nie istniał, został unicestwiony. Miało go zastąpić coś nowego, nowoczesnego. Wieżowiec wykorzystujący w pełni niewielką powierzchnię. Postęp. Rozwój. Nowy etap. Więc dlaczego poczuł tak wielką pustkę w miejscu zwykle odczuwanej satysfakcji?

Obrócił się i rozejrzał po wszystkich tych zaciemnionych, opustoszałych teraz wysokościowcach. Były solidnymi, lśniącymi symbolami osiąganego przez niego sukcesu. Czymś namacalnym. Ale koniec końców nie były wcale bardziej bezpieczne niż tamten unicestwiony dzisiaj dom, tak samo kruche i nieodporne na zniszczenie. Z tego miejsca mógł dostrzec bliźniacze błyski światła oznaczających Strefę Zero. Symbol kruchości budowli i życia, choć także siły, hartu ducha i przetrwania. Poczuł, że nawet gdyby stracił wszystko, jutro będzie w stanie powstać na nogi i zbudować wszystko od nowa. W końcu, zaczynał przecież od niczego. Nie przypominał swojego ojca and matki. Nigdy się nie załamał.

Staął twarzą w kierunku, z którego przyszedł, przepełniony mocnym postanowieniem. Zawarł pakt z Mancinim, Trakasem i szejkiem Al-Ghamdim, ale nagle to, co wtedy się liczyło, przestało mieć znaczenie. Mógł pójść tylko jedną drogą, ponosząc tego konsekwencje, jakiegokolwiek by były.

Tydzień później

Lia stała przy oknie w swoim biurze, spoglądając ponuro na panoramę Londynu. Pogoda pasowała do jej nastroju: było sza-

ro i mokro. Wyobrażała sobie Bena Cartera w jego pięknej willi w Bahii, uwodzącego najnowszą kandydatkę na żonę. Tamtą olśniewającą blondynkę, którą widziała z nim na zdjęciach w internecie. Poczula skurcz w żołądku. Nie mogła dłużej wmawiać sobie, że nie była w nim zakochana, że to były tylko hormony. Kochała tego mężczyznę. Głęboko. Ale nie żałowała, że od niego odeszła. Zgodziła się wcześniej na małżeństwo z rozsądku z Simonem, bo w nim nie czaiło się żadne niebezpieczeństwo. Ale z mężczyzną, którego darzyła uczuciem? To byłaby czysta tortura. On widział w tym małżeństwie wyłącznie korzyści płynące dla jego reputacji i interesów.

Skrzywiła się na widok własnego odbicia w szybie, niezadowolona z bladości i widocznego zmęczenia po kolejnej nieprzebranej nocy. Kochała go, ale też nienawidziła za tę zdradę i wyrachowanie. Zadzwoiła jej komórka i odwróciła się z głębokim westchnieniem. Odbierając telefon, zmusiła się do uśmiechu, żeby nie brzmieć tak żałośnie, jak się czuła.

- Tato! Wszystko w porządku?

Przez ostatni tydzień pozostawał w domu i niecierpliwił się, kiedy wróci do pracy. Rozmawiali przez kilka minut, a potem on wspomniął:

- A w ogóle to miałem dziś rano gościa.

- Tak? Kto to był? - spytała bezmyślnie.

Ojciec odchrząknął.

- Benjamin Carter, ten amerykański potentat budowlany...

Lia oniemiała. Dłoń zacisnęła na komórce, cała krew spłynęła jej do nóg. Ojciec nie przestawał mówić i przerwała mu zszokowana.

- Co zrobił?

- Poprosił o twoją rękę. Rozmawialiśmy też o możliwej fuzji... Wiesz, Lio, on ma rację. Nie robię się coraz młodszy ani zdrowszy. A ty masz własne ambicje. Muszę być rozsądny...

- Tak mi przykro, tato. - Usiadła ciężko na krześle. - To wszystko moja wina... Poznaliśmy się w Nowym Jorku i nagabywał mnie. Ale zależało mu tylko na twojej firmie i potrzebna mu była żona i... - urwała, żeby nie powiedzieć zbyt wiele.

- Ach tak...- powiedział ojciec. - A ty co do niego czujesz?

- Nienawidzę go!

- Lio, posłuchaj, chyba nie w pełni rozumiesz...

- Nie, tato - przerwała mu. - Posłuchaj, to wszystko moja wina. Zajmę się tym.

Rozłączyła się, zanim ojciec zdołał powiedzieć coś jeszcze. Potem chwyciła za telefon na biurku i poprosiła asystentkę o zdobycie adresu biura Bena w Zjednoczonym Królestwie.

Nie była przygotowana, że ujrzy Bena zmierzającego w jej stronę w lobby jego nowoczesnego biurowca w centrum Londynu. Miał zaciętą, pełną determinacji twarz, ale na jej widok stanął jak wryty.

- Lia. - Przez sekundę patrzył na nią, jak gdyby była duchem.

- Szedłem właśnie, żeby się z tobą zobaczyć.

Serce jej zabiło.

- Cóż, oszczędziłam ci fatygi. Naprawdę myślałeś, że puszcze to płazem?

Zmarszczył brwi. Zauważyła, że był bardzo zmęczony. Wokół ust pojawiły mu się bruzdy, których wcześniej nie dostrzegła.

- Co powiedział ci ojciec?

- Wszystko, co powinnam wiedzieć. Że przyszedłeś do niego, mówiąc o fuzjach i kupnie. I że poprosiłeś o moją rękę. - Kipiała z gniewu, bo sama mówiła mu przecież, jak bardzo jej ojciec chciał, by ułożyła sobie życie. Podeszła bliżej i syknęła. - Jak mogłeś? Posłużyłeś się tajemnicą, jaką ci wyjawiałam, i wykorzystałeś ją.

W nozdrzach poczuła jego zapach, który pobudził ją, i zorientowała się, że podeszła zbyt blisko. Ale nie mogła się wycofać. Uniosła wyzywająco brodę.

- Więc nie pozwoliłaś ojcu przekazać wszystkiego, co mu powiedziałem?

Zamrugła. Ojciec istotnie coś do niej mówił, kiedy się rozłączyła.

- Usłyszałam wszystko, co powinnam.

Foyer pełne było ludzi. Ben uświadomił to sobie i cicho zaklął.

- Nie możemy prowadzić tej rozmowy tutaj. - Wziął ją za ramię i zaprowadził do wind, zanim zdołała się oswobodzić.

- Myślę, że powiedzieliśmy już sobie wszystko - syknęła. - Musisz zostawić mnie i mojego ojca w spokoju. Nie dostaniesz tego, czego chcesz...

Mimo protestów znalazła się z nim w windzie, a on nacisnął guzik i zaczęli się wznosić. Puścił jej rękę.

- Nie odejdziesz, dopóki nie usłyszysz tego, co muszę ci powiedzieć - rzekł ponuro.

Powróciły wspomnienia innej przejażdżki w windzie. Benowi to samo musiało przyjść na myśl, bo pociemniały mu oczy, kiedy obrzucił spojrzeniem jej biust pod jedwabną bluzką. Poczła wilgotne ciepło między udami. Chciała krzyczeć, bo wciąż miał kontrolę nad jej ciałem. Ale winda stanęła i drzwi otworzyły się na najwyższym piętrze. Zaprowadził ją do ogromnego gabinetu, skąd widać było Londyn i ciemnobrązową Tamizę wijącą się wśród ikonicznych budynków po obu jej brzegach. Widok był imponujący, choć nie tak imponujący jak mężczyzna, który zamknął za sobą drzwi i wyrósł tuż przed nią, blokując swym potężnym ciałem wyjście. Cofnęła się.

- Czego pan chce, panie Carter?

Uśmiechnął się z przymusem.

- Jak widzę, wróciliśmy do pana Cartera.

- A czego się spodziewałeś?

Podszedł do okna i wyjrzał przez nie. Widok jego szerokich pleców przypominał jej dzień w Bahii, kiedy pracował na dachu rezydencji, śmiejąc się i żartując z mężem Esmé. Skrzywiła się. Tamten mężczyzna nigdy nie istniał.

- Kolega powiedział mi kiedyś, że moje budynki mają w sobie więcej serca niż ja sam i miał rację - odezwał się cicho Ben. - Wierzyłem, że są potężne i przetrwają, nawet jeśli ja upadnę. Nie osłabiają ich uczucia i ludzkie przywary ani chciwość czy korupcja. Tylko, że... to nieprawda.

- O czym ty mówisz?

Po długiej chwili odwrócił się i spojrzał na nią.

- Myliłem się, wierząc, że zyskam odkupienie w budowlach, jakie wzniosłem.

- Nie obchodzi mnie, co myślisz o swoich budynkach.

- Próbuję ci powiedzieć... - Zmierzył ręką włosy. - Rzeczywi-

ście przyszedłem do twojego ojca porozmawiać o interesach i poprosić o twoją rękę.

- Wiem. I dlatego...

- Ale nie tak, jak myślisz.

Umilkła i coś w niej drgnęło. Coś niebezpiecznego... cholerna nadzieja.

- A jak?

- Przyszedłem mu powiedzieć, że chcę się ożenić z jego córką, bo... ją kocham. Powiedziałem mu, że mi nie uwierzysz po tym, co ci zrobiłem, i dlatego muszę ci to udowodnić. Jedynym sposobem, jaki mi przyszedł do głowy, było poprosić go, żeby to on mnie przejął. Chcę dowieść, że jesteś dla mnie ważniejsza niż wszystko, co wybudowałem. Bo bez ciebie to wszystko się nie liczy.

- Ale... pozwoliłeś mi odejść. I umawiałeś się z... tamtą kobietą.

- Byłem zbyt dumny, żeby się przyznać, jak bardzo mi na tobie zależy. Dotąd moim życiem nie rządziły uczucia. Chciałem wyrzucić cię z pamięci i pójść swoją drogą. - Miał żalowaną minę.

- Byłem też przerażony. Nagle nic nie wydawało się istotne ani ważne. Czułem, że popadam w obłąd. Zawsze ufałem tylko sobie i nagle nie mogłem dłużej polegać na własnym instynkcie, bo on kazał mi wracać do ciebie i przyznać, że moje priorytety się zmieniły... całkowicie. A z tamtą kobietą do niczego nie doszło. Nudziła mnie do łez i nie była... tobą.

- Nawet gdybym uwierzyła, że chciałeś oddać wszystko mojemu ojcu... nawet gdybym zgodziła się wyjść za ciebie... to w końcu dostałbyś wszystko... wszystko, czego chciałeś. - Cofnęła się, w panice. Wzruszenie zmieniło jej głos. - Nie mogę... tego zrobić.

Odwróciła się i podeszła do drzwi. Kiedy je otwierała, oczy zasły jej mgłą, ale on podbiegł, chwytając ją w objęcia.

- Puść mnie.

- Nigdy.

- Nie ufam ci, jak mogłabym?

- To nie mnie nie ufasz, tylko sobie. Boisz się sięgnąć i chwycić coś, czego zawsze sobie odmawiałaś: szansy na szczęście,

na jakie zasługujesz. Twój ojciec odmawiał sobie tego przez całe życie, ale ty nie musisz.

- Odkąd to stałeś się psychologiem?

- Odkąd piękna, bystra, odważna kobieta uciekła z naszej pierwszej randki i przewróciła mój świat do góry nogami, pokazując mi, że wszystko, co uważałem za ważne, takie nie było.

Przestraszyła się, że się rozplacze.

- To ty przewróciłeś do góry nogami mój świat.

- Wiem. - Ben spoważniał. - Bo od chwili, kiedy cię ujrzałem, zapragnąłem cię bardziej niż czegokolwiek. Tak, wiedziałem, kim byłaś, i miałem ukryty cel. Ale z ręką na sercu to były ostatnie rzeczy, jakie miałem w głowie. Uświadomiłem sobie, jak bardzo zszedłem z obranego kursu. Straciłem poczucie wszystkiego, co wcześniej uważałem za ważne. Zapragnąłem cię, jak tylko zobaczyłem twoje zdjęcie, to prawda. Zrobię wszystko, żebyś mi uwierzyła. Przepiszę ci Carter Construction, na twój ulubiony cel charytatywny, na Świętego Mikołaja... na kogokolwiek zechcesz. Mój prawnik czeka na końcu korytarza. Powiedz słowo, a sporządzę umowę. I nigdy ci się nie oświadczę, jeśli się tego obawiasz. Ale jeśli powiesz mi, że naprawdę tego nie chcesz i nic do mnie nie czujesz, pozwolę ci odejść i nie usłyszysz o mnie więcej.

Lia spojrzała mu w oczy. Ujrzała w nich palącą determinację, szczerą i... miłość. Ten człowiek był gotów zniszczyć wszystko to, co stworzył, dla niej.

- Ale jak mam uwierzyć, że mnie nie opuścisz? Albo że mnie nie zranisz? - spytała cicho.

- Nigdy cię nie opuszczę. Masz nade mną taką samą władzę, by mnie zranić, nawet większą...

Poczuła gwałtowne wzruszenie...

- Nie mogłabym cię zranić.

- Nie wszyscy są tacy, jak nasi rodzice, Lio. Niektórzy naprawdę znajdują szczęście. Poczucie bezpieczeństwa. Kochasz mnie?

Skinęła głową.

- Więc dobrze - powiedział cicho. Oczy mu błyszczały. - My już się od nich różnimy. Bo ja też cię kocham i przysięgam tu

i teraz, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by dać ci szczęście.

Spojrzała na niego wzruszona. Czy miał rację? Czy byli w innej sytuacji niż ich rodzice, ponieważ się kochali? Czy to było takie proste? Ale знаła już odpowiedź. To mogło być takie proste... I takie trudne... bo miłość do Benjamin Cartera było najtrudniejszą rzeczą w jej życiu. I najłatwiejszą. Wspięła się na palce i pocałowała go, a wszystkie wątpliwości i obawy zniknęły, pozostawiając tylko miłość.

Dużo później, w pokoju hotelowym za rogiem, leżała zaspokojona i błogo ospała po pojednaniu z Benem w bardzo wyczerpujący i przekonujący sposób. Przytulona do jego boku, otoczona jego ramieniem. Nie pozwalał jej na ucieczkę, co nie znaczy, że miała zamiar to robić. Leniwie wodziła palcem w górę i w dół po jego torsie.

- Kiedy powiedziałaś, że nigdy nie poprosisz mnie o rękę...

Poruszył się niespokojnie.

- Tak... i mówiłem poważnie. Jeśli w ten sposób udowodnię ci, że...

Lia położyła mu palec na ustach.

- Chodzi o to... doceniam, że... ale ja tylko... to znaczy... gdybyś nie czuł, że musisz to robić, czy chciałbyś się ze mną ożenić?

Położył ręce na jej ramionach i odsunął ją od siebie, żeby wstać z łóżka. Usiadła, czując chłód. Może za bardzo się pośpieszyła...

Tymczasem Ben przeszukał kieszenie marynarki, a potem wrócił do łóżka. Ukląkł przed nią. Trzymał w ręku czarne pudełko. Pokryte aksamitem. Odezwał się niepewnie:

- Nie pokazałem ci go wcześniej, bo nie chciałem wywierać na tobie presji.

Otworzył pudełko. Na czarnym jedwabiu leżał najpiękniejszy pierścionek, jaki Lia kiedykolwiek widziała. Prostokątnie oszlifowany szafir otoczony rzędami brylantów.

- Rzecz w tym... - mówił urywanym głosem - jeśli ci się nie podoba, to możemy wymienić. Ale chciałbym spytać, czy przyjmiesz pierścionek i zgodzisz się zostać moją narzeczoną, na tak

długo, jak zechcesz. A jeśli kiedyś zdecydujesz, że chcesz wyjść za mąż, to będę czekał.

Poczuła ucisk w gardle. Przepełniało ją szczęście. Spojrzała na Bena, ale jego obraz był zamglony z powodu łez.

- Bardzo mi się podoba. I tak. Przyjmuję go. Teraz. Wyjdę za ciebie, Benie Carterze, jeśli mnie zechcesz - powiedziała, pół płacząc, a pół się śmiejąc.

Patrzył na nią przez długą chwilę, oszołomiony, a wtedy objęła go za szyję i pociągnęła na łóżko. Wsuwał jej pierścienek na palec.

- Kocham cię, Julianno Ford.

- Ja też cię kocham, Benjaminie Carterze... A teraz, na czym to skończyliśmy...?

EPILOG

- Ekipa już jest na miejscu w Indiach, Lio. Nie wiem, jak wam dziękować za wszystko, co robicie. Ty i Ben. Pomoc waszej fundacji jest nieoceniona przy opanowywaniu tego chaosu.

Lia wyjrzała przez okno w swoim biurze.

- Przykro mi, że nie mogę być teraz z wami.

Mężczyzna po drugiej stronie linii stłumił śmiech.

- Bez obawy, twoja ekspertyza jest bezcenna nawet stamtąd, a nie sądzę, żeby mąż spuścił cię z oka w najbliższym czasie.

Ręka Lii automatycznie powędrowała do jej wystającego brzucha, kiedy zerknęła przez szklaną ścianę oddzielającą jej gabinet od gabinetu męża w jego londyńskim budynku, gdzie mieli teraz swoją siedzibę.

Ben zgodził się przenieść do Zjednoczonego Królestwa, żeby mogli być blisko jej ojca, który wydawał się przeżywać prawdziwy renesans, odkąd Ben i on połączyli swoje firmy, przekształcając je w potężną transatlantycką spółkę o nazwie CarterFord Construction. Jej ojciec podjął właśnie mocno spóźniony krok wstecz i bawił obecnie na rejsie z nową ukochaną, swoją długoletnią sekretarką. Lia od lat podejrzewała ją, że kochała się w jej ojcu. Razem byli uroczy.

Zmarszczyła brwi, nie widząc męża w jego gabinecie. Usiadła prosto i z roztargnieniem powiedziała:

- Okej, Philip, w każdym razie informuj nas, proszę, na bieżąco o postępach.

Odłożyła telefon i wstała z miejsca, ale zaraz potem się uśmiechnęła, uświadamiając sobie, dlaczego nie mogła wcześniej zobaczyć męża. Wyszła z gabinetu i oparła się o futrynę z ręką na brzuchu w ósmym miesiącu ciąży.

Ben spojrział na nią w górę ze swojego punktu obserwacyjnego na podłodze, gdzie siedział z podwiniętymi rękawami koszuli i włosami w nieładzie. Oczy mu lśniły. Położył palec na ustach.

Ich trzyletnia córeczka Lucy, jeszcze nie widząc Lii, mówiła właśnie znajomo autorytatywnym głosem:

- Nie, tatusiu, widzisz? Musimy zbudować miejsce dla wozu strażackiego i wszystkich zwierzątek.

Lię zalała tak gwałtowna fala miłości i szczęścia, że niemal zaparła jej dech. Próbowwała powstrzymać łzy, przeklinając hormony ciążowe.

Ben wstał z podłogi i wyciągnął do niej rękę, a wtedy Lucy odwróciła się i pisnęła podekscytowana:

- Mamusiu! Chodź, zobacz, co robimy!

Lia podeszła i uklękła ostrożnie, pamiętając o swoim dodatkowym bagażu, a Ben pociągnął ją w ramiona, obejmując zaborczo jej brzuch. Lucy, ciemnowłosa i błękitnooka ancymonka, dzięki któremu oboje byli bardzo zajęci, podskoczyła.

- Czy mogę posłuchać mojego braciszka?

Ben i Lia otworzyli ramiona i Lucy przytuliła się do brzucha mamy, z twarzą zwróconą w jedną stronę, unosząc w skupieniu brewkę i obejmując ramionkami rozbudowaną talię Lii.

Lia oparła się na szerokiej piersi Bena, pozwalając mu odgarnąć sobie włosy na jedną stronę, żeby mógł pocałować ją w szyję. Poczła rozkoszny dreszcz i w tej właśnie chwili dziecko kopnęło. Lucy zaśmiała się.

Lia poczuła na skórze, że Ben się uśmiechał i sama też się uśmiechnęła w odpowiedzi.

- Kocham cię - powiedział z ustami na jej szyi.

Odwróciła głowę i wyszeptała:

- Ja też cię kocham.

Tytuł oryginału: Married for the Tycoon's Empire
Pierwsze wydanie: Harlequin Mills & Boon Limited, 2016
Redaktor serii: Marzena Cieśla
Opracowanie redakcyjne: Marzena Cieśla
Korekta: Anna Jabłońska

© 2016 by Harlequin Books S.A
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2018

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.
Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.
Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych - żywych i umarłych - jest całkowicie przypadkowe.
Harlequin i Harlequin Światowe Życie są zastrzeżonymi znakami należącymi do Harlequin Enterprises Limited i zostały użyte na jego licencji.
HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.
Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.
Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN 978-83-276-3686-7

Konwersja do formatu MOBI:
Legimi Sp. z o.o.

Spis treści

Strona tytułowa
Prolog
Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty
Epilog
Strona redakcyjna